



## JÓZEF SZYMICZEK

wachmistrz wojsk łączności

1. Dywizji Pancерnej generała Stanisława Maczka

### Z Gliwic do Dywizji Pancерnej generała Maczka<sup>1</sup>

#### Lata młodości

##### Gliwice

Do dziewiątego roku życia mieszkaliśmy w Gliwicach przy ulicy Barbary 46<sup>2</sup>, z początku w jednym pokoju i kuchni, a po jakimś czasie na tym samym trzecim piętrze w większym, dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią. Była też komórka i dosyć obszerny korytarz. Okna wychodziły na podwórze i na ulicę, a w podwórzu każdy lokator miał jedno pomieszczenie gospodarcze, gdzie przechowywało się drzewo oraz hodowało króliki lub kury. Okna na stronę ulicy dawały możliwość obserwacji rozległego kompleksu warsztatów naprawy taboru kolejowego, który rozciągał się wzdłuż całej ulicy Barbary aż pod Sośnicę i odgradzony był wysokim murem betonowym. Drugi skraj tego kompleksu kończył się daleko przy ulicy Chorzowskiej. W tych warsztatach pracował mój ojciec jako werkmistrz<sup>3</sup>. W czasie I wojny światowej, w której transporty wojskowe w większości opierały

---

<sup>1</sup> Józef Szymiczek urodził się 26 XII 1912, zmarł 13 VIII 2000 roku. Rękopis wspomnień, dokumenty i fotografie udostępnił jego syn Stanisław Szymiczek. Za konsultację historyczną dziękujemy prof. dr. hab. Ryszardowi Kaczmarkowi.

<sup>2</sup> Wówczas Barbarastrasse, obecnie ul. Bł. Czesława.

<sup>3</sup> Werkmistrz – majster.

się na komunikacji kolejowej, Niemcy traktowali warsztaty jako główną bazę naprawczą. Nie tylko naprawiano tam tabor, ale również budowano sprzęt przewozowy, między innymi tak zwane luxtorpedy<sup>4</sup>. Były to małe zestawy wagonów osobowych o napędzie silników spalinowych.

Załoga pracująca w czasie wojny, aczkolwiek ponad miarę eksploatowana, była zwolniona z obowiązku pójścia na front. Na tym też skorzystał mój ojciec, który – choć szkolony przed wojną w wojsku w Opolu – bardziej był potrzebny w warsztatach. Pamiętam ojca wracającego z pracy, w teczce przynosił kawałki drzewa z odciętych desek naprawianych wagonów. Sytuacja żywnościowa w czasie pierwszej wojny światowej była dosyć ciężka. Ojciec robił młynki do mielenia ziarna i bębny do mieszania jęczmienia. Bęben stawiało się na blachę, wsypywało się do niego jęczmień i w trakcie nagrzewania obracało korbą połączoną z mieszaczem. To przeważnie była moja i moich braci robota. Na innego rodzaju młynkach miełiło się owies, żyto oraz pszenicę i dzięki temu matka miała z czego piec. Z mielnego owsa robiła smaczne makaroniki i ciastka, z palonego jęczmienia mieliśmy kawę zbożową. Nasuwa się pytanie, skąd to ziarno? Tutaj muszę wyjaśnić, że ojciec pochodził z Grabówki koło Lubomii (w rybnickim). Gospodarzył tam wujek Karol i dziadek Antoni. Byli rolnikami i pracowali w kopalniach Pszów i Wodzisław. Zwykle na wieś jeździł ojciec, a czasami przyjeżdżały do nas też ciotki. Przywoziło się stamtąd (oraz z Nieboczów i Pstrążnej) chleb wiejski własnego wypieku, były to duże, okrągłe bochenki. Od krewnych dostawaliśmy też owoce oraz mięso i wędliny z własnego uboju. Ojciec z kolei rewanżował się różnego rodzaju wyrobami ślusarsko-kowalskimi (młynki, narzędzia). Taka wymiana wspomagała naszą rodzinę, a była to rodzina niemała: trzech braci po pierwszej matce Wiktorii, która pod koniec I wojny światowej (w 1918 roku) zmarła na chorobę płuc. Ojciec, na prośbę matki, ożenił się z ciotką Weroniką, która miała syna Ryszarda i była samotna. Najstarszym moim bratem był Franek (urodzony w Opolu), później ja (urodzony w Biskupicach), zaś najmłodszym Karol (urodzony w Gliwicach). Oczywiście dołączył do nas Ryszard młodszy ode mnie o dwa miesiące.

Mając sześć lat, zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej przy ulicy Hutniczej. Moim wychowawcą był nauczyciel o nazwisku Brotkopf. Był on oficerem rezerwy w armii niemieckiej. Mimo, że byłem mały i dopiero zacząłem poznawać cały ten świat, pamiętam jego ironiczne uwagi dotyczące Polski. A był to okres burzliwych demonstracji robotników i krwawej strzelaniny w mieście. Policja strzelała zarówno do polskich, jak i niemieckich robotników należących do organizacji Spartakus<sup>5</sup>. W tym czasie ojciec wysłał mnie i starszego brata na naukę religii, którą prowadził polski nauczyciel (w szkole nr XI przy ul. Ziemowita). Tam też poznałem Franciszka Galbierza, z którym później wspólnie działaliśmy w Katowicach.

---

<sup>4</sup>Luxtorpeda – popularna nazwa wagonów spalinowych.

<sup>5</sup>Związek Spartakusa, najpierw od 1916 roku grupa radykalnych niemieckich socjaldemokratów marksistowskich na czele z Różą Luksemburg i Karlem Liebknechtem, w 1918 roku przekształcona w osobną organizację (Związek Spartakusa). Organizacja dążyła do wywołania rewolucji proletariackiej w Niemczech, w styczniu 1919 roku weszła w skład Komunistycznej Partii Niemiec.

Nastaly dziwne czasy dla całej rodziny. Śmierć matki zacząłem odczuwać dopiero później, gdy dorastałem. Na Wszystkich Świętych ojciec zrobił z grubszego drutu uchwyt do świec. Z pracy przyniósł stearynę, którą rozpuszczał w garnku na blasze i wlewał do mokrych rurek. Później wyciskał patykiem odpowiednio grubym gotowe świece, po uprzednim wpuszczeniu do rurki sznurka (knota). Matka pochowana była na cmentarzu przy ulicy Lipowej. Chcąc wbić świece w grób, musieliśmy najpierw usunąć grubą warstwę śniegu. Takiego Święta Zmarłych w późniejszych latach nie pamiętam.

Z drugą matką ojciec miał córkę Jadwigę, która zmarła w trzecim miesiącu po urodzeniu. Po małą trumienkę musiał iść do miasta najstarszy brat Franciszek, bo ojca w tym czasie często nie było w domu. Dopiero później zrozumieliśmy, że związany był z Polską Organizacją Wojskową<sup>6</sup> i pracował w obwodowej Komisji Plebiscytowej<sup>7</sup>. Raz wrócił późno w nocy w poszarpanym płaszczu. Okazało się, że był na zebraniu obywateli w Łabędach. Wraz z innymi organizatorami agitowali wśród ludności, aby głosowała w plebiscycie za Polską. Po wiecu poszli na dworzec w Łabędach i chcieli pociągiem dojechać do Gliwic. Przed dworcem zostali napadnięci przez bojówkę niemiecką, która obrzuciła ich granatami. Na szczęście skończyło się tylko na poszarpanym płaszczu. Niemcy zrzeszeni byli w tajnych organizacjach bojowych. Mieli swój wywiad oraz ukryte magazyny broni i amunicji. Wojska koalicyjne, które stacjonowały na terenie Górnego Śląska (zwłaszcza Francuzi sprzyjający Polakom) urządziły obławy na ukryte magazyny niemieckie. W czasie jednej z takich akcji widzieliśmy żołnierzy francuskich na parkanie odgradzającym warsztaty kolejowe. Wzywali mieszkańców sąsiednich domów do zamykania okien i zabraniali patrzeć przez szyby. W okresie plebiscytu mieszkał u nas francuski kapitan. Na ścianach płotów i domów nalepione były afisze w językach polskim i niemieckim. Ojciec przywoził do domu stopy ulotek nawołujących do głosowania za Polską. Ulotki te podzielił między mnie a starszego brata. Poinformował nas odpowiednio, jak się mamy zachować. O godzinie 14. obaj staliśmy przed bramami wyjściowymi zakładów (każdy przy innej) i wręczaliśmy ulotki robotnikom wychodzącym z pracy.

Zbliżał się dzień wybuchu III powstania śląskiego. Była piękna słoneczna niedziela. Najmłodszy Karol i Ryszard byli u babci w Biskupicach. Ja, starszy brat Franek i druga matka mieliśmy jak najwcześniej rano także pojechać tramwajem do Biskupic. Wstaliśmy więc wcześniej i udaliśmy się na przystanek Elżbiety (wtedy tak nazywany) przy ul. Chorzowskiej. Czekaliśmy dość długo wśród sporej grupy ludzi, ale tramwaje nie wyjechały z remizy. Nagle równocześnie zaczęły wyc syreny fabryczne i od razu usłyszeliśmy ostrą strzelaninę z karabinów maszynowych. Wszyscy się rozbiegli, matka schowała się w bramie najbliższego domu, Franek na własną rękę zawrócił do domu i ja także chciałem się tam dostać jak najszybciej.

<sup>6</sup> Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, główna polska siła zbrojna w powstaniach śląskich utworzona w 1919 roku.

<sup>7</sup> Zapewne chodzi o Polski Komitet Plebiscytowy na Powiat Gliwicki. W 1920 roku powstał Polski Komisariat Plebiscytowy w Bytomiu, prowadzący kampanię propagandową na rzecz głosowania za przyłączeniem Górnego Śląska do Polski. Komitet posiadał swoje przedstawicielstwa we wszystkich powiatach oraz w większości miast i gmin wiejskich na terenie plebiscytowym.

W międzyczasie z ulicy Okrzei (z tamtejszej szkoły) wyjeżdżały auta ciężarowe z żołnierzami francuskimi. Niektórzy stali na stopniach obok szoferki, wszyscy w ostrym pogotowiu z bronią gotową do strzału. Strzelanina wzmagą się. Chcąc wrócić do domu, musiałem przedostać się przez długi przęsłowy most. Za przednimi, betonowymi wypustami mostu chowali się jacyś uzbrojeni mężczyźni. To były niemieckie bojówki Stosstrupp<sup>8</sup>. Most przeskakiwałem sam od przęsła do przęsła, a ściślej od słupa do słupa. Kule z karabinów maszynowych odpryskiwały jak woda z prysznica. Patrząc w dół ukradkiem, widziałem posuwającą się tyralierę powstańców. Wreszcie znalazłem się za mostem. Trzeba było zbiec długimi schodami i już zaczynały się z prawej strony mniejsze budynki fabryczne. Ogień szedł również po nich. Wylatywały szyby ze świetlików i okien. Skręciłem w prawo i po około stu metrach minąłem główny wjazd do warsztatów. Za bramą już była ulica Barbary. Biegłem prawą stroną od domu do domu, zatrzymując się we wnękach bram lub drzwi. Jakaś kobieta w średnim wieku wyszła z bramy i ostrzegła mnie, abym schował się w sieni. Powiedziałem jej, że śpieszę się do domu. Ulica była pusta, a na środku gdzieś widoczne były plamy krwi. To rykoszety raniły zdezorientowanych mieszkańców dzielnicy. Wreszcie znalazłem się w domu. Franek już dawno wrócił. Ojciec, podniecony, zabrał mnie ze sobą na strych. Tam z okna obserwowaliśmy, jak tyraliera powstańców przeszukuje poszczególne budynki i hale fabryczne. Widziałem nawet jedną kobietę z karabinem. Po jakimś czasie strzelanina nareszcie ucichła i ludzie powychodzili z ukrycia. Na ulicy co parę kroków stały posterunki powstańców z karabinami.

W naszym domu mieszkali Polacy i Niemcy. Trzeba przyznać, że nie było antagonizmów, tylko wzajemna tolerancja. Dlatego zaskoczony zostałem takim widokiem: gdzieś na drugim piętrze na korytarzu dwie Niemki (zadne i porządne kobiety) na kolanach błagały mojego ojca, ażeby nie pozwolił, by powstańcy zrobili im krzywdę. W południe przyszła moja druga matka i zaczęła gotować dużo kawy zbożowej, którą brat Franek nosił na punkt opatrunkowy w budynkach przy głównej bramie wjazdowej do warsztatów. Jeszcze przedtem poszliśmy z bratem aż na Plac Piastów<sup>9</sup>, tam wojska francuskie zrobiły kordon ochronny rozgraniczający powstańców. Odbywały się rozmowy dowódców powstańczych z oficerami francuskimi. Ze względu na znaną przychylność wojsk francuskich dla spraw polskich, powstańcy wycofali się ze śródmieścia. Gliwice zostały jednak otoczone pierścieniem oddziałów powstańczych aż do wygaśnięcia III powstania.

Właściciel naszego i sąsiedniego domu nazywał się Remiorz. Był on porządnym i solidnym człowiekiem. Chociaż był Niemcem, darzył szacunkiem mego ojca. Tuż po wycofaniu się powstańców na obrzeża miasta poprosił ojca na rozmowę i powiedział mu, że Niemcy posądzają ojca o zastrzelenie jednego członka Stosstrupp za ogrodeniem na terenie warsztatów. Radził mu, ażeby nasza rodzina nie spała w nocy we własnym mieszkaniu, lecz przeniosła się w inne miejsce. Poszliśmy więc z bratem do znajomych mieszkających w oficynie (rodziny Klamków),

<sup>8</sup> Stosstrupp – potoczna nazwa bojówek niemieckich na Górnym Śląsku. Nazwa pochodzi od utworzonych podczas I wojny światowej oddziałów szturmowych.

<sup>9</sup> Wtedy noszący nazwę Germaniaplatz.

a ojciec z matką spali jak zwykle w pokoju od strony ulicy. W nocy wystrzelono cztery kule z karabinu do naszych frontowych okien. Kule utkwiły o pół metra w ścianie nad łózkami rodziców. Ojciec na drugi dzień wydrapał kule z tynku i przechowywał aż do czasów po II wojnie światowej, kiedy to wnuk je wyszperał i zgubił.

Wkrótce ojciec wyjechał potajemnie na dwa tygodnie do Krakowa, do batalionu kolejowego<sup>10</sup> na przeszkolenie. Powstanie trwało w rejonie Góry św. Anny, a w Gliwicach życie toczyło się w miarę normalnie. Po powrocie ojca, w pewną niedzielę, rodzina sąsiadów (Skibowie) i nasza poszła niby na przechadzkę do Sośnicy. Przepuszczono nas przez pierścień rowów strzeleckich i umocnione stanowisko wojsk powstańczych. Ojciec był tajnym komendantem na terenie warsztatów kolejowych. Wśród pracowników tych warsztatów istniała tajna organizacja POW, która miała swoje zadania do wykonania. W związku z tym ojciec musiał przekazywać informacje i meldunki. Czasami angażował do tego starszego brata Franka i mnie. Meldunki kazał zaszyć w kurtce brata lub mojej (o czym nie wiedziałem) i razem z bratem wysłał nas do Sośnicy, do wujka po króliki. Wujka w rzeczywistości w Sośnicy nie mieliśmy. Przez linię umocnień przepuszczano nas po wymienieniu nazwiska rzekomego wujka. Ten wujek oczywiście przekazywał meldunki do właściwych adresatów. Między Gliwicami a Sośnicą były dwa stawy koło cegielni. W pogodne dni chodziliśmy tam się kąpać. Raz poszedłem z młodszym bratem Karolem. Kiedy on kąpał się z innymi dziećmi, a ja pilnowałem ubrań, zagrzmiały nagle karabiny maszynowe z pobliskich już pozycji powstańczych. Powstał popłoch, wszyscy uciekali, a ja szukałem Karola. W pośpiechu ubrałem się, wziąłem rzeczy Karola i wreszcie znalazłszy go, zaciągnąłem pod mostek, ubrałem i zawlokłem do domu.

Pamiętam jeszcze jedno wydarzenie z dnia 3 maja 1921 roku. W godzinach popołudniowych wrócił z pracy nasz sąsiad Paweł Skiba, który był maszynistą kolejowym. Przyszedł do nas i w dużym pokoju frontowym zdjął koszulę i pokazał ojcu, jak wyglądały jego plecy i piersi po bestialskim pobiciu przez zaczajoną bojówkę niemiecką. Jakie były motywy tej napaści? W dniu wybuchu III powstania Skiba, jako maszynista lub kierownik parowozu, prowadził z Sośnicy do Gliwic na dworzec osobowy pociąg towarowy o krytych wagonach. W Gliwicach pociąg stanął, wagony się otworzyły i wyskoczyli z nich powstańcy, którzy opanowali dworzec. Później rodzina Skibów przeniosła się z nami do Katowic. Z dwóch synów starszy został lekarzem w Czechowicach-Dziedzicach, a młodszy zginął w 1939 roku jako podporucznik.

O okresie gliwickim można by jeszcze dużo napisać, ale ograniczę się do kilku zdarzeń. Pierwsze dotyczy ojca i jego pracy agitacyjnej przed plebiscytem. Pewnego razu uczestniczył w zebraniu przedwyborczym w Szobiszowicach<sup>11</sup> i nawet wchodził w skład prezydium, któremu przewodniczył ksiądz Potempa<sup>12</sup>. Na sali

<sup>10</sup> II batalion kolejowy w Krakowie, który od sierpnia 1921 roku wszedł w skład 1. Pułku Wojsk Kolejowych, przekształconego w 1924 roku w 1. Pułk Saperów Kolejowych.

<sup>11</sup> Obecnie dzielnica Gliwic.

<sup>12</sup> Zapewne chodzi o księdza Wiktora Potempę, który we wrześniu 1920 roku postrzelił niemieckiego bojówkarza.

byli Polacy i Niemcy. Kiedy ksiądz przemawiał, broniąc sprawy polskiej (stał za stołem na scenie), jakiś uzbrojony bojówkarz niemiecki chwycił księdza za nogę, chcąc go ściągnąć ze sceny. Ksiądz, przygotowany na ataki ze strony niemieckiej, wyciągnął pistolet i, nie namyślając się wiele, zastrzelił napastnika. Na sali powstało ogromne zamieszanie i zaalarmowane zostały wojska koalicyjne. Francuzi aresztowali całe polskie prezydium i samochodami odwieźli na komendę, ale wkrótce po cichu wszystkich wypuścili.

W czasie I wojny światowej w warsztatach wagonowych Niemcy czasami zatrudniali jeńców wojennych. Byli tam Anglicy, Francuzi i Rosjanie. Ojciec mój zaprzyjaźnił się z Anglikami, a szczególnie z Jimmym Barretem, pochodzącym z Doncaster w hrabstwie Yorkshire. Od niego nauczył się języka angielskiego. Przyjaźń ta przetrwała II wojnę światową, a po jej zakończeniu nawet odwiedziłem Jimmy'ego w Anglii. Ta znajomość bardzo się przydała w czasie pobytu wojsk koalicyjnych na Śląsku. Przemysł ciężki przeważnie kontrolowali sprzyjający Niemcom Anglicy i w kontaktach z nimi trzeba było korzystać z tłumacza niemieckiego, który przedstawiał prośby i petycje strony polskiej. Pułkownik angielski, gdy dowiedział się o przyjaźni ojca z Barretem, a także z innymi jeńcami angielskimi pracującymi w warsztatach, zezwolił na bezpośredni dostęp. Odtąd mój ojciec, reprezentujący polską część załogi warsztatów wagonowych w powstałych wówczas radach robotniczych, skutecznie mógł załatwiać (z korzyścią dla strony polskiej) różnego rodzaju sprawy.

Po ustaleniu granicznego podziału Górnego Śląska Gliwice przyznano Niemcom. Polacy mieszkający w tym mieście przygotowywali się więc do przeniesienia na stronę polską. Zresztą takie były ustalenia przedstawicieli stron walczących z delegatami Komisji Międzysojusznicej. Z kolei z części Górnego Śląska przyznanej Polsce tamtejsi Niemcy przygotowywali się do przeniesienia na stronę niemiecką. Rozpoczął się wielki ruch migracyjny. Organizowano transporty kolejowe dla przewozu mienia ruchomego. Wreszcie trzeba było załatwić sprawy szkolne. Kończyłem trzecią klasę szkoły podstawowej. Pamiętam jak dziś: wychowawca klasy (zgodnie z dyrektywami odgórnymi) zwrócił się do uczniów z pytaniem, który z nich wyjeżdża na polską stronę Górnego Śląska. Wstała ponad połowa klasy, wyrażając przy tym niesamowity entuzjazm. Trudno określić dokładnie, ale myślę, że było to przeszło 60 procent uczniów. Na drugi dzień nauczyciel przygotował dla wyjeżdżających do Polski świadectwa ukończenia trzeciej klasy, ale noty z poszczególnych przedmiotów nam nie wstawił i powiedział, że stopnie możemy sobie sami wpisać. Był to jedyny sposób wyrażenia niezadowolona z naszej postawy. A było wśród nas wielu wyróżniających się później kolegów, jak na przykład Paweł Kandziora<sup>13</sup>. W 1939 roku, tuż przed wybuchem II wojny światowej, zdobył we Francji medale na akademickich mistrzostwach świata w szermierce. Byli wśród nas bracia Bednorzowie, krewni biskupa Herber-

<sup>13</sup> Paweł Kandziora (1913–1942), reprezentant klubu AZS Kraków, akademicki mistrz Polski we florecie w 1938 roku, a w 1939 roku we florecie i szabli. W 1939 roku brał udział w akademickich mistrzostwach świata w Monte Carlo, gdzie razem z kolegami zdobył złoty medal za zwycięstwo drużynowe w szabli. Zginął w 1942 roku w KL Auschwitz.

ta, który był starszy od nas i też mieszkał w naszej dzielnicy. Wielu nazwisk już nie pamiętam, ale pamiętam jeszcze ich twarze.

Skończył się pewien burzliwy okres mojej młodości. Chociaż najęzony był różnymi niebezpiecznymi zdarzeniami, to nigdy nie zapomnę, jak słońce wówczas pięknie świeciło. Rozpowszechniona była wtedy piosenka *Słonko jasne*. Wszyscy Polacy nosili ją nie tylko w pamięci, ale i w sercu. Zawsze będę pamiętał stukanie pociągów, gwizdy lokomotyw i syreny fabryczne. Ta atmosfera towarzyszyła mi od rana do wieczora. Wydaje mi się, że te wszystkie emocje z plebiscytu i powstań śląskich spowodowały, iż zbyt wcześnie dojrzałem, w odróżnieniu od ludzi, którzy nie musieli niczym się przejmować i martwić. Pożegnaliśmy się z Gliwicami, ale ojciec zawsze mówił: „Chłopcy, przyjdzie jeszcze czas, gdy Gliwice wrócą do Polski, a my nad grobem matki staniemy w polskich mundurach”. Jego przewidywania spełniły się po wielu latach.

### Katowice

Przenieśliśmy się wreszcie do Katowic. Zajęliśmy mieszkanie przy ulicy Kochanowskiego 13, też na trzecim piętrze. Poprzedni lokator (Niemiec) wyprowadził się na stronę niemiecką, a pamiątkę po nim znaleźliśmy na piecu kaflowym. W zawiniątku leżały tam różne odznaki jakiejś niemieckiej organizacji. Szybko zapoznaliśmy się z terenem i okolicą oraz odnaleźliśmy swoich kolegów z Gliwic. Byli już tu Kandziorowie, Walkowiaci, Famulowie, Kubicowie, Skibowie, Kempowie i Franciszek Galbierz. Z uwagi na licznych krewnych pozostawionych za kordonem dostaliśmy tzw. karty cyrkulacyjne upoważniające do odwiedzin terenów niemieckich. Z początku ojciec także pracował w kolejnictwie, ale szybko zatrudniono go w organizującej się polskiej administracji, a ściślej w sądownictwie. Ojciec miał bardzo ładny charakter polskiego pisma, mimo że uczęszczał do szkoły niemieckiej, a jedynie po polsku uczył się religii i dodatkowo w czasie plebiscytu brał udział w kursach języka polskiego. Mój dziadek Antoni z Grabówki przez całe życie mówił wyłącznie po polsku, po niemiecku rozumiał, ale nawet do przedstawicieli władz odpowiadał zawsze po polsku. Jeszcze przed I wojną światową chodził na pielgrzymki w okolice Krakowa. Wisały u niego stare obrazy religijne z datami z pierwszych lat XX wieku. Wszystkie ciotki i wujkowie naukę religii odbywali w języku polskim. A dziadek, kiedy był młody, chodził do polskiej szkoły podstawowej, która w tamtych czasach jeszcze była tolerowana. Język niemiecki wykładany był wtedy tylko przez jedną godzinę w tygodniu.

Szkolnictwo polskie na terenach polskiego Śląska nie od razu było dobrze zorganizowane. Ściągano kadry nauczycielskie (przeważnie z Galicji). Po dwóch czy trzech miesiącach zaczął się dla nas rok szkolny już w polskiej szkole. Cała czwórka rodzeństwa chodziła odtąd do szkoły podstawowej przy ulicy Jagiellońskiej: ja i Ryszard do czwartej klasy, Franek do piątej, a najmłodszy Karol do pierwszej.

Ojciec rychło zaczął działalność społeczną w Związku Powstańców Śląskich w Grupie Uchodźczej Gliwicko-Toszeckiej. My (bracia) zaczęliśmy od razu wstępować do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, które miało kilka gniazd. Naczelnikiem naszego gniazda był sympatyczny kupiec Kasprzak<sup>14</sup> z ulicy Mikołow-

<sup>14</sup> Zapewne chodzi o Kazimierza Kasprzaka, organizatora wielu gniazd sokolich na Śląsku.

skiej. Gniazdo podzielone było na stronę męską i żeńską oraz młodych i starszych druhow. Ćwiczenia gimnastyczne odbywały się w sali gimnastycznej Szkoły Wydziałowej przy ulicy Szkolnej. W tej samej sali gimnastycznej ćwiczenia miały niemieckie organizacje młodzieżowe Turnverein „Vorwärts”. Spotykaliśmy się z nimi przed zajęciami lub po nich. W tym czasie istniała jeszcze wielka nienawiść wzajemna, wyrosła w czasie agitacji plebiscytowej i w okresie powstań. Zdarzało się, że kilku młodych druhow wcześniej przybyłych na ćwiczenia było napastowanych przez niemiecką młodzież. Niemcy zaczepiali przeważnie pojedynczych druhow. Dlatego umawialiśmy się na tylnym podwórzu koło wysypiska śmieci i tam zaopatrzyliśmy się w kamienie do obrony. Starsi druhowie tworzyli odpowiednią osłonę i często dochodziło do krwawych rozpraw. Później jako się to unormowało, ale z początku po ćwiczeniach maszerowaliśmy w zwartym szyku czwórkowym ulicami miasta. Każdy z dumą nosił w klapie marynarki okrągły blaszany orzełek piastowski. To były początki. Później, o ile rodziców było na to stać, nosiliśmy rogatywki szkolne. Pióra każdy musiał sobie sam zorganizować, przeważnie z indyków. Nosilo się je na biało-czerwonej kokardzie, przyczepionej z lewej strony do czapki. Sokolice chodziły w pięknych czerwonych chustkach na głowie, w białych bluzkach i granatowych spodniach. Niektórzy starsi druhowie (przeważnie z kierownictwa) mieli całe mundury koloru khaki, ale koszule były czerwone, a marynarki mieli narzucone tylko na jedno ramię.

Ćwiczenia w Sokole to nie była żadna zabawa. Stawało się w szeregu i trzeba było słuchać instruktora, który nie tolerował żadnej swawoli. Dyscyplina była iście wojskowa, a każdy przyjmował reguły z honorem. Ćwiczyliśmy na przyrzędach, na drabinkach, a później coraz częściej wprowadzano elementy lekkoatletyczne. Niektórzy starsi druhowie byli tak umięśnieni, że przypominali rzymskich gladiatorów. Zawsze ćwiczeniom towarzyszył marsz ze śpiewem naokoło sali. A śpiewało się przede wszystkim patriotyczne pieśni narodowe. Najbardziej popularne były: *Marsz, marsz Polonia, Do bytomskich strzelców, Hej, z góry, z góry, Hej, bracia Sokole*.

W Katowicach przygotowywano się do uroczystego przywitania wkraczającego wojska polskiego, strojono bramy triumfalne. Ja widziałem pierwszych polskich żołnierzy w Parku Kościuszki, na ich czele jechali konno oficerowie. Jednak główny wjazd nastąpił od strony Szopienic. Oczywiście wojska koalicyjne ewakuowano przed wkroczeniem wojsk polskich. Nie pamiętam już, kiedy zmieniono walutę na marki polskie, pamiętam natomiast galopującą inflację, kiedy to płaciło się milionami marek. Życie gospodarcze nie było ustabilizowane. Dopiero teraz dało się odczuć skutki I wojny światowej. Ogromne kolejki ustawiały się po cukier, a przy poszczególnych zakładach powstawały konsumy.

Nareszcie chodziliśmy regularnie do polskiej szkoły. Moją pierwszą nauczycielką polską była pani Maria Michalska. Była to już nie najmłodsza kobieta, bardzo sympatyczna, pełna energii i chęci dokonania czegoś pożytecznego. Była prawdziwą przedstawicielką polskiego patriotyzmu i romantyzmu, potrafiła nam w krótkim czasie wpoić zamiłowanie do polskich pieśni narodowych, co ułatwiało zrozumienie historii ojczystej. W naszej szkole uczyło wielu nauczycieli, którzy



mieli osiągnięcia także w innych dziedzinach. Na przykład: Stefan Kisieleński<sup>15</sup>, reprezentacyjny bramkarz polski w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości, czy też Mieczysław Gładysz<sup>16</sup> (mój ostatni wychowawca w VIII klasie), który później został dyrektorem Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Ciekawym czynnikiem integrującym było pochodzenie uczniów, nie tylko z Górnego Śląska, ale także z Galicji, Podhala i Poznańskiego. Wśród Ślązaków było dużo miejscowych i uchodźców, a czasami też uczniów niezdeklarowanych narodowościowo.

Życie stabilizowało się pod każdym względem, ale nasza rodzina miała coraz większe potrzeby, a praca w sądownictwie wcale nie dawała ojcu wystarczających dochodów. Starszy brat chciał zapisać się do Gimnazjum Humanistycznego przy ulicy Mickiewicza. Był pedantem, bardzo systematycznym w nauce i chociaż w przedmiotach matematycznych nie celował – dopiął swego. Zdał maturę i poszedł na studia filozoficzne do Krakowa, gdzie skończył historię i germanistykę. Jeszcze przed wojną wydał, jako rozszerzoną pracę magisterską, książkę pt. *Walka o Śląsk Cieszyński*<sup>17</sup>. Było to syntetyczne opracowanie tematu podówczas bardzo aktualnego z uwagi na sytuację polityczną. Razem z braćmi udzielaliśmy się społecznie w szkole. Chodziliśmy na zloty, zabawy i pochody, utworzono nawet małą orkiestrę bębnowo-piszczalkową, w której i ja grałem. Również zapisałem się do Gimnazjum przy ulicy Mickiewicza, ale uczyłem się tylko półtora roku i musiałem zrezygnować z kilku powodów. Jednym z nich był wychowawca klasy, który niesłusznie zaliczył mnie do uczestników pewnej awantury rozgrywającej się pod nieobecność profesora. Ta historia, a także kłopoty finansowe mojej rodziny spowodowały, że ojciec podjął decyzję o zakończeniu mojej nauki w gimnazjum. Wróciłem do szkoły podstawowej, ukończyłem ósmą klasę, a potem zacząłem pracować w kancelarii adwokackiej Dziecioła i Kazimierczaka. Przez 18 miesięcy zatrudnienia w tej kancelarii nauczyłem się wielu ciekawych rzeczy z dziedziny postępowania procesowego, techniki stosowania prawa i „kręcenia paragrafami”. Miało to duży wpływ na ukształtowanie moich poglądów na życie oraz pozwoliło spojrzeć realnie na stosunki społeczne, jak: bieda, bogactwo, walka o dobra materialne oraz umiejętne wykorzystywanie technik prawnych nie zawsze w słusznej sprawie. Wielu znajomych z tamtej kancelarii znalazło się później na dobrych stanowiskach w bankach, przemyśle i innych instytucjach gospodarczo-handlowych.

W końcu dzięki znajomościom ojca dostałem posadę w kolejnictwie, jako że praca w tej branży uważana była za stabilną i dobrze płatną. Zarabiało się nieźle i zapewniony był awans, jeśli pracownik się dokszałcał i przeszedł praktykę w ruchu kolejowym. Ja pracowałem w biurze stacyjnym, ekspedycji towarowej, węglowej, odprawie pociągów, telegrafii depeszowej, pociągowej i kasie biletowej. Zapisałem się też na zaoczne dwuletnie kursy wieczorowe organizowane przez Dyрекcję Kolei Państwowych. Ukończenie tych kursów dawało mi tzw. małą

<sup>15</sup> Stefan Kisieleński (1901–1951), piłkarz klubu Polonia Warszawa, w reprezentacji Polski piłki nożnej występował w latach 1926–1928, ukończył studia historyczne i w latach trzydziestych był nauczycielem w gimnazjum w Katowicach.

<sup>16</sup> Mieczysław Gładysz (1903–1984), etnograf, po II wojnie światowej dyrektor muzeów w Gliwicach i Bytomiu, kierownik Zakładu Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN.

<sup>17</sup> F. Szymiczek, *Walka o Śląsk Cieszyński w latach 1914–1920*, Katowice 1938.

maturę oraz prawo do dalszej nauki w kolejnictwie (np. wstęp do szkoły adiunktów do Gdańska). Nauka była dla mnie dość dużym wysiłkiem, gdyż w dzień pracowałem na stacji Katowice Ligota (w biurze stacyjnym i jako telegrafista), a od godziny 16 do 21 chodziłem na kursy. Mimo to wśród kandydatów do egzaminu z telegrafu w ruchu pociągów miałem najlepszy wynik. Docenił mnie także kierownik jazdy Jan Buchta, który kontrolował stację podczas największego ruchu pociągów. Katowice Ligota były stacją pierwszej klasy i pociągi osobowe oraz towarowe odchodziły prawie co minutę.

W życiu rodzinnym nic ciekawego się nie zdarzyło. Karol praktykował u malarza, Ryszard pracował na stacji Chebzie, Franek studiował w Krakowie, a ojciec był już sekretarzem sądowym i dalej udzielał się w Związku Powstańców Śląskich, w Związku Podoficerów Rezerwy, a także w Bractwie Kurkowym, Klubie Obywatelskim oraz w Stowarzyszeniu Mężów Katolickich. Wśród kolegów ojca było wielu właścicieli restauracji, którym załatwiał sprawy sądowo-administracyjne, za co był mile widziany w ich lokalach. Ja od momentu pójścia do gimnazjum musiałem zerwać z Sokołem, gdyż uczniowie gimnazjum nie mogli należeć do żadnych organizacji. Przy Związku Powstańców Śląskich powstał jednak oddział młodzieży męskiej i żeńskiej – tam szkoliliśmy się sportowo i wojskowo. Urządzaliśmy obozy i zabawy oraz braliśmy udział w uroczystościach państwowych. Nasz oddział liczył przeszło 100 osób, a ćwiczenia odbywały się dwa razy w tygodniu.

Akurat po ukończeniu kursów kolejowych nastąpił wielki kryzys gospodarczy w całej Europie. Wszędzie rosło bezrobocie, dlatego wprowadzono tzw. „świętówki”, czyli jeden dzień w tygodniu wolny niepłatny, a potem po dwa dni w tygodniu, aż wreszcie zaczęto zwalniać, gdzie się dało. Najpierw zwalniano kawalerów mieszkających przy rodzicach i w ten sposób zwolniono w 1933 roku mnie i Ryszarda. Najmłodszy brat był jeszcze uczniem malarskim, a najstarszy kończył studia w Krakowie. Do mnie los się uśmiechnął o tyle, że dostałem powołanie do odbycia dwuletniej służby wojskowej, a z pracy wypłacono mi około 600 zł odszkodowania. Część tej odprawy pożyczyłem studiującemu bratu, który był w dramatycznej sytuacji finansowej.

### W wojsku

3 listopada 1933 roku zameldowałem się w 5. Batalionie Telegraficznym w Krakowie w celu odbycia służby wojskowej. Tutaj rozpoczął się nowy okres mego życia, który z przerwami trwał 10 lat, licząc udział w II wojnie światowej. Zacząłem jako rekrut od zaprzysiężenia 10 grudnia, w marcu następnego roku dostałem się do szkoły podoficerskiej, a po jej ukończeniu zostałem przeniesiony jako instruktor do kadry 5. Kompanii Szkolnej Łączności. Szkoliłem podoficerów łączności dla piechoty, saperów, artylerii i kawalerii. Pierwszy turnus tej szkoły wypadł dość korzystnie dla mnie, bo z mojej drużyny w pierwszej dziesiątce najlepszych znalazło się aż pięciu moich uczniów. Prymusem został mój uczeń Kotarba z Krakowa, inni moi podopieczni ulokowali się na trzeciej, czwartej, piątej i siódmej pozycji. Ja natomiast, mimo tak dobrych wyników, musiałem odpokutować aż trzykrotnie areszt. Ale nie tylko ja, bo codziennie do raportu karnego stawało najmniej trzech

lub czterech instruktorów. Dowódca kapitan Czerkaski (były oficer armii austriackiej) był surowy i bezpardonowy, a nasza kompania była obiektem drwin i ironicznych uwag ze strony innych. Kiedy bowiem inne kompanie były już po obiedzie, kadra szkolna musiała jeszcze za karę maszerować po dziedzińcu i śpiewać, a także padać na ziemię na komendę: „lotnik, kryj się”.

W jesieni rozpoczął się drugi turnus i przyszli na szkolenie kawalerzyści i artylerzyści. Na wiosnę zaproponowano instruktorom przeniesienie do Warszawy do nowopowstającego szwadronu łączności przy 2. Dywizji Kawalerii. Warunkiem była umiejętność jazdy konnej, którą potwierdziła większość kandydatów, choć tak naprawdę niewielu z nas miało do czynienia z końmi. W marcu 1935 roku zameldowaliśmy się w nowej jednostce. Byliśmy zadowoleni, bo w Warszawie mieszkańcy z większą sympatią odnosili się do wojska niż w Krakowie. Kadra oficerska skompletowana była z podoficerów zawodowych z różnych jednostek. Żołnierze rozmieszczeni zostali w dwóch dużych salach na pierwszym piętrze i parterze. Mnie wyznaczono na komendanta sali. Młody rocznik pochodził przeważnie z województw krakowskiego i śląskiego i wszyscy już byli wyszkoleni w jeździe konnej. Stary rocznik pochodził z Wilna, Grodna i Warszawy i oni byli opóźnieni w służbie wojskowej ze względu na liczne wyroki sądowe. Widocznie jednostki, które ich przysłały, chciały się pozbyć tego trudnego elementu. Konie trzymaliśmy w starych stajniach po szwadronie honorowym prezydenta Rzeczypospolitej. Gdzieś po dwóch tygodniach instruktorzy zaczęli już ostrą jazdę konną. Ja spadłem tylko jeden raz na ujeżdżalni, na skutek niewłaściwego trzymania się kolanami podczas jazdy bez strzemion. Inni koledzy spadali głównie przy pokonywaniu przeszkód. Zaczęły się też ćwiczenia z nowym sprzętem – były to taczanki, z których rozwijało się linie telefoniczne. Koła miały ogumowanie i specjalne urządzenia do manipulacji bębni. Już w maju 1935 roku byliśmy na zgrupowaniu w Ciechanowie, a w sierpniu wyjechaliśmy całą Dywizją Kawalerii na manewry stałe, a potem ruchome. Objechaliśmy województwo łódzkie, radomskie, sandomierskie, lubelskie i część lwowskiego, co było bardzo wyczerpujące, bo często całe noce spędzaliśmy na koniu. Zakończeniem manewrów była defilada przed marszałkiem Edwardem Śmigłym-Rydzem<sup>18</sup> na polach pod Zgierzem. Nie widziałem nigdy tyle wojska, co tam. Oprócz naszej Dywizji Kawalerii brało udział kilka dywizji piechoty oraz Samodzielna Brygada Kawalerii z Poznania. W okolicznych wioskach w studniach nie było już wody, a kwatery szukało się przez całą noc. Wreszcie załadowaliśmy się w Łodzi na pociągi transportowe i wróciliśmy do Warszawy.

Wypada mi tutaj wspomnieć jedno historyczne zdarzenie, w którym brałem udział. Była piękna niedziela majowa, dostałem przepustkę i z dwoma kolegami poszliśmy do Parku Liseckiego<sup>19</sup>. Po powrocie do koszar dowiedzieliśmy się, że obowiązuje żałoba narodowa, bo zmarł marszałek Józef Piłsudski. Na drugi dzień zostałem wyznaczony w skład delegacji szwadronu, która udała się dwoma motocyklami z przyczepą do Belwederu dla złożenia hołdu zmarłemu. Przed budyn-

<sup>18</sup> Edward Śmigły-Rydz (1886–1941) od 1935 roku był Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych.

<sup>19</sup> Chodzi zapewne o Park Praski w Warszawie, którego główna aleja nosi imię Kazimierza Liseckiego.

kiem stała długa kolejka, którą ominęliśmy i wjechaliśmy na dziedziniec pałacu. Wtedy nas filmowano. Przy wejściu wpisaliśmy się do księgi kondolencyjnej i weszliśmy do głównego holu, gdzie stała trumna okryta kirem, a wokół niej warta honorowa, rodzina i dużo oficjeli. Nasz szwadron został wyróżniony dzięki dowódcy kapitanowi Brodzikowskiemu<sup>20</sup>, który był ulubieńcem dowódcy Dywizji generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, bliskiego współpracownika Piłsudskiego.

Pod koniec września 1935 roku zostaliśmy zwolnieni do cywila i powróciliśmy do domów. Ogólnie rzecz biorąc, byłem zadowolony z odbycia służby wojskowej. Przeszedłem egzamin hartu, wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Poznałem wielu przyjaciół, a znajomości te były najtrwalsze i każdy kolega z wojska spotkany po wielu latach był mi nadal bardzo bliski. Nawet w pracy zawodowej podobnych przyjaciół nie znalazłem. Zmężniałem w wojsku, dużo się nauczyłem i ukształtowałem swój charakter. Kryzys gospodarczy powoli dobiegał końca, ale byłem bezrobotny, podobnie jak moi koledzy z wojska. Najbliższym przyjacielem był Eryk Grygiel, który mieszkał w Ligocie. Spotykaliśmy się niemal codziennie i pewnego razu pomogliśmy bratu Karolowi pomalować dwa mieszkania i zarobiliśmy parę złotych jako pomocnicy malarscy. Postanowiliśmy jednak zabiegać o stałą pracę i zwróciliśmy się do Wspólnoty Interesów Górniczo-Hutniczych w Katowicach<sup>21</sup>, motywując prośbę pierwszeństwem zatrudniania mężczyzn po odbyciu służby wojskowej. Koledze Grygielowi udało się szybciej załatwić pracę w administracji nieruchomości, mieszczącej się w tym samym budynku co Dyrekcja Kopalni Katowice. Zatrudniony został w księgowości, gdzie było dużo zadłużeń w płatnościach czynszowych oraz bałagan, który celowo robili odchodzący Niemcy. Dyrektorem był inżynier Antoni Misiak ze Lwowa; pracowało też sporo byłych wojskowych. Nadal przeważali jednak Ślązacy. Wkrótce kolega Grygiel załatwił mi posadę pracownika tymczasowego z nowym angażem co dwa miesiące. Pracowałem na takich niskich warunkach przez dziewięć miesięcy. Ale dzięki nadgodzinom i pracy w niedzielę zarobek przekraczał zasadniczą stawkę 90 zł miesięcznie. Po tym czasie został uwzględniony mój wniosek o przyjęcie na etat i otrzymałem stanowisko w grupie A. Po trzech latach miałem już grupę B i przysługiwały mi dwie tony węgla. Na prace dorywcze udało się w międzyczasie wciągnąć brata Ryszarda i jednego z kolegów. Przez cały czas mieliśmy płatne nadgodziny, co jednak odbijało się na zdrowiu. Zacząłem nosić okulary, a w 1938 roku zachorowałem na dyfteryt<sup>22</sup>. Po tej chorobie byłem bardzo wycieńczony, ale sport i turystyka pozwoliły mi dojść do równowagi. Natomiast Ryszard zachorował na zapalenie płuc i musiał przerwać pracę.

Pracując we Wspólnocie zauważyliśmy, że niemieccy urzędnicy szczególnie ściągają zaległe należności z polskich lokatorów, a ulgowo traktują Niemców zajmujących wille na przedmieściach Katowic. Ja starałem się działać odwrotnie

---

<sup>20</sup> Zapewne chodzi o Zbigniewa Brodzikowskiego (1907–1978), wówczas kapitana, potem podpułkownika.

<sup>21</sup> Wspólnota Interesów Górniczo-Hutniczych, koncern górniczo-hutniczy z mieszanym kapitałem niemieckim i amerykańskim utworzony w 1929 roku i przejęty przez państwo polskie w 1936 roku.

<sup>22</sup> Dawna nazwa choroby zakaźnej – błonicy.

i pomagałem rozkładać na raty opłaty polskim robotnikom. Zdobyłem sobie zaufanie mieszkańców Bogucic oraz Zawodzia i dzięki temu dowiadywałem się o zebraniach organizacji hitlerowskich<sup>23</sup> w niektórych domach mieszkalnych podległych naszej administracji. Tuż przed wojną zmuszony byłem poinformować o tym dyrektora Misiaka, z pominięciem kierownika działu, który sprzyjał Niemcom.

Poza pracą zawodową zaangażowany byłem w pracę społeczną i ćwiczenia w Oddziałach Młodzieży Powstańczej. Dwa razy w tygodniu spotykaliśmy się w sali gimnastycznej lub na boisku, organizowaliśmy obozy szkoleniowe, zawody sportowe i strzeleckie, ćwiczenia nocne oraz wojskowe razem ze Związkiem Powstańców Śląskich. Wyjeżdżaliśmy poza Katowice na zloty w Wiśle, a kajakami płynęliśmy z Goczałkowic do Starego Bierunia. Ostatni obóz dla instruktorów odbył się w czerwcu 1939 roku w Buczkowicach pod Bielskiem, gdzie prowadziłem szkolenie wojskowe. W całym tym ruchu moimi stałymi współtowarzyszami byli: Eryk Grygiel, Franciszek Galbierz, Paweł Kandziora, Paweł Pieczka, Walter Pacha, Eugeniusz Szeliga, Gerard Rzepka oraz wielu innych. Awansowaliśmy do władz okręgu katowickiego Oddziałów Młodzieży Powstańczej i byliśmy na zmianę komendantami, sekretarzami itp. Tuż przed wojną przygotowywaliśmy się do eliminacji powiatowych w lekkiej atletyce. Zawody miały odbyć się 3 września 1939 roku, zakupiliśmy różne nagrody i wszystko było zapięte na ostatni guzik.

### Wrzesień 1939 roku

Brat Karol odbywał czynną służbę wojskową w 73. Pułku Piechoty w Katowicach i dosłużył się stopnia kaprała. Brat Franek kontynuował pracę naukową w Instytucie Śląskim, Ryszard był bez pracy, a ojciec nadal był zatrudniony w Sądzie Okręgowym jako sekretarz i działał w Związku Powstańców Śląskich. Sytuacja polityczna była już napięta. Członkowie niemieckich organizacji wojskowych afiszowali się w białych pończochach<sup>24</sup>. Coraz częstsze były ich zbiórki i wymarsze do lasów pszczyńskich lub na Zadole, nad Przemszę i w inne miejsca. Oddziały Młodzieży Powstańczej deptały im po piętach. Także inne organizacje polskie aktywizowały swoją działalność. Przy komendzie głównej Związku Powstańców Śląskich formowano ochotnicze bataliony obrony, które pilnowały granic, zaczęto też budować schrony przeciwlotnicze. Dużo mężczyzn powoływano do armii już od wiosny. 23 sierpnia 1939 roku poszedłem normalnie do pracy. Brakowało tam już wielu kolegów. Zamiast zwykłej pracy dyrektor nakazał wszystkim pójść do piwnicy i pakować akta do przygotowanych dużych drewnianych skrzyń. Około godziny 14 zwolnił nas na obiad, po którym mieliśmy wrócić do pracy. Wiedziałem już, że w domu będzie czekać na mnie wezwanie do jednostki. Matka wraz z obja-

<sup>23</sup> Przed wybuchem II wojny światowej w Polsce działała legalna nazistowska partia polityczna (Partia Młodziemiecka), która największe wpływy miała wśród członków mniejszości niemieckiej w województwie śląskim.

<sup>24</sup> Białe pończochy były, obok białej koszuli z czarnym krawatem, krótkich czarnych spodni i opaski na ramieniu z napisem JdP, częścią mundurów noszonych przez członków Partii Młodziemieckiej (Jungdeutsche Partei).

dem dała mi mały druczek z rozkazem stawienia się w ciągu dwóch godzin w jednostce wojskowej – Kompanii Telegraficznej 55. Dywizji Rezerwowej, Grupa Operacyjna Śląsk, Armia Kraków. Zabrałem moją małą apteczkę turystyczną, latarkę elektryczną, przybory do golenia oraz parę fotografii rodzinnych. Z koszar 73. Pułku Piechoty przeniesiono nas zaraz do Brynowa, umundurowanie otrzymaliśmy w Fabryce Mydła<sup>25</sup>, a ze sprzętem telefonicznym na furmankach staliśmy na boisku KS „Rozwój”. W dużej restauracji obok rozlokowaliśmy się na noc. Przez parę dni uzupełnialiśmy sprzęt i formowaliśmy drużyny, plutony itp. Dużo kolegów poszło na noc spać do swoich domów, ja też jedną noc spędziłem u siebie. Nie było żadnego z braci, a ojciec przypadkiem zjawił się i poszliśmy na piwo do „Ede-nu” (lokalu w naszym budynku). Rozmowa była inna niż zwykle, bo wiedzieliśmy, że ten moment jest przełomowy. Pożegnaliśmy się – jak się okazało – aż na osiem lat. Zaciemnionymi ulicami poszedłem do jednostki, a po drodze spotkałem serdeczną koleżankę Marysię Koźlińską, która dała mi na pamiątkę srebrny medalion z łańcuszkiem. Przez wiele lat go nosiłem, zgubiłem gdzieś w końcu 1943 roku.

Jednostka brata Karola od dłuższego czasu pilnowała rejonu granicznego koło Knurowa, toczyli tam liczne potyczki z Niemcami. Moja jednostka wymaszerowała do Tychów i zajęła budynki browaru. Zainstalowaliśmy centralę telefoniczną, a drużyny i patrole budowały linie polowe dla oddziałów ukrytych w lasach. Moja drużyna obsługiwała centralę. Gdy 1 września 1939 roku rozpoczęła się wojna, w Tychach pojawili się pierwsi ewakuowani z Gierałtowic, Kochłowic i Nowej Wsi. Były też grupy uzbrojonych powstańców śląskich, które walczyły na granicy. Sporadycznie latały samoloty niemieckie. Po południu moja drużyna przekazała centralę innej i wymaszerowała do Bierunia Starego, skąd dołączyliśmy do centrali urzędu pocztowego i stamtąd przez całą noc budowaliśmy linię polową do Kobióra, docelowo do urzędu gminnego. Kobiór był atakowany 1 września przez niemieckie czołgi i piechotę. Atak odparty został przez 12. Pułk Piechoty<sup>26</sup>, dotarli też żołnierze z rozbitych jednostek z Rybnika oraz Strzelców Podhalańskich<sup>27</sup>. Budowę linii ukończyliśmy dopiero nad ranem. Kilku telefonistów usadowiono na przedpolach, ja z resztą drużyny ulokowałem się w wielkiej stodole na skrzyżowaniu dróg do Gostyni. Już od trzech dni prawie nie spałem i teraz na sianie udało mi się przespać parę godzin. Koledzy byli zdziwieni, że mogłem spać wśród gradu pocisków i ustawicznej strzelaniny. Przed południem dostałem rozkaz ściągnięcia jednego telefonisty z przedpola i pojechałem na rowerze szosą prowadzącą do Gostyni. Telefonista wyszedł mi naprzeciw, był bardzo zmęczony całonocną obsługą telefonu na pozycjach piechoty. Na skrzyżowaniu dróg Kobiór – Pszczy-na – Gostynia oraz drogi leśnej na Stary Bieruń stał oficer, który alarmował, że od Pszczyzny atakują czołgi. Nacisnąłem pedały i przejechałem przed zamaskowanym stanowiskiem naszych działek przeciwpancernych, które szykowały się do walki.

<sup>25</sup> Chodzi zapewne o fabrykę chemiczną Ericha A. Kołontay’a na Brynowie (obecnie dzielnica Katowic).

<sup>26</sup> 12. Pułk Piechoty wchodzący w skład krakowskiej 6. Dywizji Piechoty, jeden z pododdziałów tego pułku walczył w okolicach Pszczyzny.

<sup>27</sup> Chodzi o oddziały 21. Dywizji Piechoty Górskiej.

Na kwaterze otrzymałem rozkaz, aby z większością drużyny oraz wozem sprzętowym udać się tą samą drogą, którą przybyliśmy, czyli do Starego Bierunia, i poprawić słyszalność linii budowanej w nocy. Przy wjeździe na drogę leśną było tłoczno, w panice przemieszczały się wozy amunicyjne, tabory różnych jednostek i jeńcy niemieccy. W tym czasie nasza artyleria rozpoczęła ostrzał, co płoszyło konie, a furmanki grzęzły na piaszczystej drodze i tworzył się zator. W pewnym momencie, o parę kroków za naszym wozem, ukazał się jeden konny artylerzysta z czterema końmi w pełnym galopie. Krzyknąłem, żeby mi oddał jednego. Rozplątał więc wodze, a ja złapałem konia za pysk, mocno trzymałem i osadzałem, bojąc się, że mnie strati. Wysunąłem lewą stopę do przodu, ażeby mieć lepsze oparcie, niestety koń był rozgorączkowany i płoszył go huk naszej artylerii, wtedy nadepnął mi na wysuniętą stopę, w której odczułem jakiś zgrzyt. Koń jednak był opanowany, wsiałem na niego i pogalopowałem za wozem, choć lewa stopa zwiślała mi bezwładnie.

Kolumna coraz równiej szła ku Staremu Bieruniowi. I tak dojechaliśmy do głównej szosy prowadzącej do Oświęcimia. Poszczególne wozy udały się do swoich jednostek. Kilkunastu kanonierów konnych opanowało się do tego stopnia, że postanowili wrócić do swoich stanowisk. Oddałem im mojego konia, a sam usiałem na skraju szosy i zdjąłem buta z lewej nogi. Reszta drużyny odmaszerowała do zgrupowania kompanii, aby kontynuować zadania konserwacji linii. Siedziałem i obserwowałem ruch na drogach. Zauważyłem nadjeżdżający samochód osobowy, zatrzymałem go i poprosiłem cywilnego kierowcę, aby mnie zawiózł do najbliższego punktu opatrunkowego. Po drodze na różnych skrzyżowaniach oficerowie kierujący ruchem pytali się nas, czy widzieliśmy Niemców. Gdy samochód dostał się w potok pojazdów, nie było szansy odwrotu i musieliśmy jechać naprzód. W ten sposób 2 września wieczorem znalazłem się w szpitalu wojennym w Krakowie.

Kraków już od 1 września był mocno bombardowany. Szpital wojenny (przed wojną wojskowy)<sup>28</sup> znajdował się dość blisko linii kolejowej, obiektów wojskowych i magazynów. Dlatego bomby padały bardzo blisko, wydawało się, że zaraz trafią w mury szpitalne. Sala dla lekko rannych (Oddział IV) mieściła się na parterze. Było to duże pomieszczenie, w którym przebywało kilkadziesiąt osób. Zrobiono mi prowizoryczny opatrunek i zaopatrzono w kije, abym mógł się poruszać. Na sali znajdowali się już ranni z tego samego odcinka działań: Pszczyzny, Kobiórra i okolicy. Co jakiś czas były naloty, a po każdym pojawiali się nowi ranni czekający na noszach swojej kolejki. Słysząc było jęki, niektórzy umierali nie doczekawszy się pomocy. Na salę przychodzili od czasu do czasu kapelani, spełniając posługi religijne. 4 września zakomunikowano nam, że kto tylko czuje się na siłach, niech zejdzie przed szpital, gdzie czeka kolumna autobusów. Zabrałem mój chlebak, do którego przytroczyłem lewy but, i na kulach wdrapałem się do autobusu. Jechaliśmy w kierunku Tarnowa. Pogoda była piękna, co szczególnie sprzyjało lotnictwu niemieckiemu. Po drodze spotykaliśmy kolumny naszego wojska. W Tarnowie ulokowano nas w opróżnionym domu starców żydowskich, ja znalaz-

<sup>28</sup> Ówczesny Wojskowy Szpital Okręgowy w Krakowie, dzisiaj przy ul. Wrocławskiej.

złem się w małym pokoju z pięcioma innymi osobami. Obok mnie leżał dentysta z Pszczyny, który miał poważniejsze rany i cierpiał bardziej. Mnie nareszcie zbadałno dokładnie i nałożono gips na lewą stopę.

Tarnów również był mocno bombardowany. Co chwilę schodziliśmy do piwnicy, a rano przed szpitalem stanęły furmanki z ciężko rannymi. Nam zaproponowano, że kto może, niech uda się do niedalekiego szpitala wojskowego<sup>29</sup>. W małych grupach, częściowo już zaznajomionych ze szpitala w Krakowie, udaliśmy się do nowoczesnego szpitala wojskowego, który był już prawie pusty. Szukaliśmy sobie miejsca w różnych salach, gdzie pełno było pokrwawionej bielizny, a czasami leżało parę ciężko rannych, dogorywających pacjentów. W szpitalu było tylko jeszcze dwóch lekarzy. Gdzieś na trzecim piętrze była sala, w której znajdowało się kilku lekko rannych i tam się ulokowaliśmy. W czasie nalotów ześlizgiwaliśmy się po poręczach do schronów. Po ostatnim powiedziano nam, że przed szpitalem stoi kolumna aut sanitarnych, która nas odwiezie na dworzec w celu dalszej ewakuacji na wschód. Na dworcu kolejowym, którego hala już była zniszczona, wśród gruzów i szkła czekaliśmy najpierw na peronach, ale potem dowleliśmy się do pociągów ewakuacyjnych, stojących w pewnym oddaleniu. W naszej paczce ze szpitala w Krakowie byli: starszy ułan (ranny w piersi), starszy szeregowy (przestrzał lewej nogi), no i ja. Ulokowaliśmy się w wagonie pulmanowskim w jednym przedziale. Pod wieczór pociąg zaczął powoli ruszać. Trzeba dodać, że Tarnów był dużym węzłem kolejowym, przez który przechodziły liczne transporty wojskowe. Podczas oczekiwania byliśmy świadkami silnej i skutecznej obrony przeciwlotniczej, odpierającej ataki samolotów niemieckich. Wtedy spotkałem dwóch kolegów: Stachowskiego z Bogucic (kaprała) oraz Kowalczyka z Batalionu Telegraficznego w Krakowie. Porozmawialiśmy i przekazaliśmy sobie informacje, kto gdzie walczył i kogo ze znajomych spotkał.

Pociąg jechał powoli, co chwilę się zatrzymując. Koło mnie usiadła młoda piętnastoletnia dziewczyna. Ze zmęczenia oparła głowę o moje ramię i zasnęła. W ciągu dnia codziennie byliśmy świadkami nalotów, ostrzałów z karabinów maszynowych i samolotów myśliwskich. Odżywialiśmy się głównie owocami, które znajdowaliśmy w czasie postojów. Brak było wody, ale za to stały na różnych stacjach wagony towarowe z transportami napojów alkoholowych. Przez okna podano nam kilkanaście butelek wódki i spirytusu, ale używaliśmy ich tylko do oczyszczenia twarzy i nóg, nikt tego nie konsumował. Raz, gdy pociąg stał dość długo, z trudem o kulach zeszlismy z nasypu do jakiegoś gospodarstwa. Była tam studnia, ale na jej dnie nie było wody. Na jakiejś większej stacji przenieśliśmy się do innego pociągu, bo nasz miał skończyć bieg. I znowu jechaliśmy przez kilka dni. Jednego razu transport stał na wysokim nasypie, a w dali widać było tunel, przez który galopem przejeżdżała nasza artyleria. Zajmowała stanowiska, otwierała ogień, a z drugiej strony strzelała artyleria niemiecka. Znaleźliśmy się w środku pola walki. Innym razem przejeżdżaliśmy przez piękną wioskę z malowniczymi murowanymi domami, która cała ogarnięta była ogniem, a dalej przez płonąca stację kolejową. Dojechaliśmy do stacji Tarnobrzeg akurat w chwili nalotu. Pociąg stanął,

<sup>29</sup> Szpital Wojskowy w Tarnowie przy obecnej ul. Piłsudskiego.



ludzie wyskakiwali i chowali się w lejach po poprzednich bombardowaniach. Zrobiłem tak samo, a gdy pociąg ruszył, nie zdążyłem do niego dobiec i zostałem sam. Doszedłem do jakiejś drogi, którą ciągnęli ewakuujący. Spotkałem nawet znajomych z Katowic, właścicieli sklepu spożywczego z ulicy Plebiscytowej, z których synem chodziłem do szkoły. Jakaś furmanka, widząc kaprala-inwalidę, zaoferowała mi miejsce. I tak jechaliśmy lasami do stacji Rozwadów, gdzie nad ranem stanął pociąg ewakuacyjny, który ruszył do Rawy Ruskiej. Byliśmy już niedaleko celu, gdy linię zablokowały silne naloty bombowców. Zeszliśmy z nasypów kolejowych do jakiejś drogi, którą przejeżdżał samochód ciężarowy z saperami. Zabrali mnie aż pod Jarosław i wysadzili na miejscu zgrupowania 6. Batalionu Telegraficznego<sup>30</sup>. Zgłosiłem się tam, ale Batalion był gotów do wymarszu i wsadzono mnie do samochodu wojskowego, który jechał do Żółkwi. Tam zgłosiłem się do koszar jakiejś jednostki. Właśnie szykowano barykady do obrony, obecni byli między innymi policjanci ze Śląska, który już tu dotarli. Podchorąży lekarz dał mi furmankę i kazał łżej rannych odstawić do Kamionki Strumiłowej. Zanim tam dotarliśmy, spaliliśmy w koszarach konnych, gdzie było czynne radio. Tam po raz ostatni słyszałem komunikaty i program nadawany przez Polskie Radio z Wilna. W Kamionce ulokowano nas w ukraińskim domu kultury, gdzie powstał szpital tymczasowy. Byliśmy pierwszymi pacjentami, a pielęgniarkami były członkinie Ochotniczej Szkoły Sanitariuszek. Zaoferowałem im pomoc i spisywałem personalia przybywających rannych. W południe było nas już pięćdziesięciu. Zwrócono się do mnie, abym poszedł do komendanta miasta i dowiedział się, jaka jest sytuacja. Przyjął mnie major, który wyjaśnił, że sytuacja jest bardzo poważna, a do otoczonego Lwowa prowadzi tylko jedna droga. Poradził, żeby łżej ranni, jeśli nie chcą dostać się do niewoli, opuścili szpital tymczasowy i radzili sobie na własną rękę. Wróciłem do szpitala, gdzie siostry zapewniały mnie, że na pewno nie będzie bombardowań, bo w Kamionce jest duża kolonia niemiecka. Prawie w tej samej chwili mury zatrzęsły się od wybuchu bomb, zaczęli napływać ranni, a dwaj lekarze mieli pełne ręce roboty. Także siostry opatrywały nawet bardzo skomplikowane rany, asystowałem jednej prawie przez trzy godziny. Wreszcie z moimi kolegami z dotychczasowej ewakuacji postanowiliśmy opuścić szpital i wyruszyć dalej. Wyszliśmy na ulicę, gdzie stały puste furmanki wojskowe. Oficer na koniu pozwolił nam ulokować się na jednej z nich i tak dojechaliśmy do Buska, gdzie wysiedliśmy z kolegą Staszkiem. W Busku nie było żywej duszy, tylko na ulicach leżały ulotki niemieckie wzywające do poddania się. Chodziliśmy od domu do domu, pukaliśmy i wreszcie otwarło nam starsze małżeństwo. Pani była siostrą Wincentego Witosa. Nakarmili nas, dali czystą zmianę bielizny i kazali się wyspać. Po południu ruszyliśmy dalej. I znowu sprzyjało nam szczęście. Na horyzoncie pojawiła się samotna furmanka wojskowa z sześcioma umundurowanymi żołnierzami z Dywizjonu Pociągów Pancernych z Niepołomic<sup>31</sup>, a więc z jednostki Staszka. Ruszyliśmy z nimi do Łoczowa, a po drodze zatrzymaliśmy się na nocleg w jednej wsi. Gospodarz Ukrainiec przyjął nas

<sup>30</sup> 6. Batalion Telegraficzny stacjonował przed wybuchem wojny w Jarosławiu.

<sup>31</sup> Chodzi o 2. Dywizjon Pociągów Pancernych, którego pododdziały brały udział w walkach na Górnym Śląsku w składzie 6. Dywizji Piechoty.

przyjaźnie, a gdy zaoferowaliśmy mu przenośną kuźnię polową, która była już niepotrzebna i znajdowała się na furmance, upiekł nam olbrzymią gęś.

Na drugi dzień dotarliśmy do Złoczowa. Miasto okolone było wzgórzami. Koncentrowały się tam jednostki wojskowe. Gdy dojeżdżaliśmy do skraju miasta, rozpoczął się ogromny nalot samolotów niemieckich, ale silna artyleria odparła atak. Zameldowaliśmy się w komendzie garnizonu. Kazali nam jechać do Tarnopola. Droga była w tym czasie już mało ruchliwa i pod wieczór byliśmy na rogatkach miasta. Stacjonowało tam dość dużo wojska. Zgłosiłem swoje usługi, bo choć nogę miałem w gipsie, mogłem obsługiwać centralę. Zjedliśmy wojskową zupę i znowu z całą kolumną wozów ruszyliśmy w drogę. Garnizon opuszczał miasto i kierował się do granicy rumuńskiej na Trembowłę, ale wkrótce zostaliśmy zawróceni i wróciliśmy do Tarnopola, gdzie ulokowaliśmy się w małych domkach u gościnnych gospodarzy i spaliśmy twardo aż do wczesnego przedpołudnia. Rano usłyszałem rozmowę gospodyni z sąsiadkami, że w mieście są Rosjanie<sup>32</sup> i rozbrajają nasze wojsko. Wstaliśmy szybko i z pielęgniarką oraz kilkoma rannymi udaliśmy się do szpitala wojskowego. Po drodze spotkał nas radziecki oficer, który obiecał załatwić transport dla rannych. Musiałem mu oddać mój mały rewolwer. Doszliśmy do rynku, gdzie na polskie samochody ładowano broń, a wokół stali oficerowie polscy i radzieccy wojskowi. W grupach toczyły się żywe dyskusje, ludzie byli rozgorączkowani. Ze Staszkiem stanęliśmy na chodniku przy narożnym budynku. Wszędzie przechodziły patrole radzieckie. Nagle rozległy się strzały z karabinów maszynowych, powstała panika. Schowaliśmy się w bramie, a potem na półpiętrze. Wreszcie ponadgodzinna kanonada ustała i ruszyliśmy w kierunku szpitala. Po drodze znowu musieliśmy się kryć przed strzelaniną, aż wreszcie dotarliśmy do celu. Krążyły różne plotki, że z kościoła strzelali polscy oficerowie i że wielu odebrało sobie życie.

Do szpitala dotarliśmy 17 września i wtedy kierował nim jeszcze polski lekarz, ale wkrótce Rosjanie wyznaczili swojego oficera, a polski został zastępcą. Później następowały kolejne zmiany, a polskich oficerów wywożono. W szpitalu rozdzielono mnie ze Staszkiem, bo jego stan się pogorszył. Trafiłem do sali, gdzie znajdowało się czterdzieści osób. Spotkałem tu kilku znajomych, m.in. kolegę z katowickiego gimnazjum. Na prawo ode mnie leżał Janek Murek, z którego starszym bratem kolegowałem się. Janek miał zdać tylko jeden semestr i byłby lekarzem weterynarii.

Przez całe dwa tygodnie bez przerwy w mieście słychać było strzały. Nikt nie znał ich przyczyny, ale w mieście obowiązywał stan wojenny i pielęgniarki otrzymały od komendanta rozkaz odebrania rannym wszelkiej broni, jaka jeszcze była w ich posiadaniu. Postawiono 24-godzinne ultimatum i grożono represjami. Pamiętam, jak pielęgniarki z naszej sali wyniosły dużą tacę pełną rewolwerów. Byliśmy traktowani jak jeńcy wojenni, co dwa dni kazano nam wypełniać ankiety personalne. Niektórzy za każdym razem zmieniali dane, co spowodowało później ich wywiezienie. Na salę przychodzili do nas radzieccy oficerowie polityczni i prowadzili z nami pogadanki i dyskusje. Czas leciał, jedzenie było dobre, ponad-

<sup>32</sup> Chodzi o oddziały sowieckiej Armii Czerwonej.

to uruchomiono kantinę, gdzie można było kupić dobre rzeczy ze starych zapasów. Janek kupił nawet pięciokilową puszkę pysznej szynki eksportowej i po cichu konsumowaliśmy ją. Janek (jako oficer) dostał dużą wypłatę i bał się trzymać taką sumę przy sobie, dlatego zrobił schowek, a mnie dał kilkaset złotych, które później bardzo się przydały. Kierownictwo szpitala dowiedziawszy się, że Janek jest po studiach medycznych, zaangażowało go do prowadzenia laboratorium. Ja zostałem pomocnikiem Janka. Uplýwał już miesiąc mojego pobytu w szpitalu. Zdjęto mi gips, ale noga była jeszcze słaba. W końcu komisja uznała mnie za wyleczonego i z innymi wypisywanymi zebrano nas w holu. Przyszedł też Janek w płaszczu bez gwiazdek, ale kazano mu zawrócić. Niestety, później zginął w Katyniu<sup>33</sup>.

Rosyjskie samochody ciężarowe zawiozły nas na przedmieścia Tarnopola do koszar artyleryjskich. Ulokowano nas w dużych szopach, gdzie przed wojną musiały stać działa. Rano zaprowadzono wszystkich do koszar i oddzielono oficerów, podoficerów i szeregowców. Potem oficerowie radzieccy zaczęli nas przesłuchiwać. Głównie pytano o pochodzenie, dane osobowe oraz udział w działaniach wojennych. Potem przewieziono nas do Złoczowa i ulokowano w klasach jakiejś szkoły. Tam spędziliśmy noc, a rano dołączyli do nas kolejni żołnierze i było nas już około 120 osób. Sformowano kolumnę marszową i poszliśmy w kierunku Brodów, eskortowani przez radzieckich żołnierzy z długimi karabinami i osadzonymi na nich bagnetami. W niektórych większych miejscowościach, przez które przechodziliśmy, ludność ukraińska wygrażała nam, a nawet rzucała kamieniami, ale też pojedyncze osoby (zwłaszcza kobiety) ukradkiem dawały nam owoce albo chleb. Od chwili wyjścia ze szpitala regularne jedzenie się skończyło, ja miałem jeszcze zapasy w chlebaku, ale noga coraz bardziej mi dokuczała i w końcu skapitulowałem i usiadłem. Pokazałem eskortującemu mnie żołnierzowi nogę i powiedziałem, że nie mogę iść. Zapaliłem papierosa i poczęstowałem go. Był to człowiek około 50 lat, dość wyrozumiały. Usiadł koło mnie, a po chwili nadjechały radzieckie czołgi. Żołnierz zatrzymał jeden z nich, wdrapaliśmy się na niego i dojechaliśmy do koszar.

Obóz polskich jeńców mieścił się w koszarach przedwojennego 22. Pułku Ułanów Podkarpackich. Zgrupowano tam około 20 tysięcy naszych żołnierzy. Codziennie wysyłano ich batalionami na różne roboty ziemne. Jedzenia prawie nie było. Przyjeżdżała raz dziennie kuchnia polowa serwująca cienką kaszę, ale nigdy nie starczało jej dla wszystkich, a jeden chleb dzielono na ośmiu ludzi. Codziennie robiono nowe spisy i trzymano nas po kilka godzin na zbiórkach batalionów, które utworzono w obozie. Ja i moi koledzy ze szpitala (Staszek z Piotrkowa i Franciszek Zabawski ze Starego Sącza) ulokowaliśmy się w przechowalni siodła. Pomagaliśmy sobie wzajemnie. Zrobiliśmy składkę i przez drewniany parkan namówiliśmy kobiety z okolicznych domostw do ugotowania nam jakiegoś jedzenia. Przyniosły nam dwa wiadra zupy z kartoflami na kościach. W parkanie były też dziury i czasami sami chodziliśmy po prowiant. O dalszych ucieczkach na początku nie było mowy, bo wokół byli nieprzyjaźnie nastawieni Ukraińcy oraz straźni-

<sup>33</sup> Podporucznik rezerwy Jan Alojzy Murek był oficerem 3. Pułku Ułanów, jako jeden z jeńców obozu sowieckiego w Starobielsku został zamordowany w Charkowie w kwietniu 1940 roku.

cy w cywilnych ubraniach z czerwonymi opaskami, a także patrole żołnierzy radzieckich, które zaczęły pilnie strzec parkanu. Wielu jednak planowało ucieczkę, bo stale chodziły słuchy, że nasz batalion ma wyruszyć w głąb Związku Radzieckiego, tak jak już niektóre wymaszerowały. Dlatego ze Staszkiem i Frankiem obmyślaliśmy sposób wydostania się z obozu. Pewnego dnia wzięliśmy wiadra do prania bielizny i zbliżyliśmy się do parkanu sąsiadującego z leśną gęstwiną. Od strony wewnętrznej też rosły rzadkie i niezbyt wysokie drzewa sosnowe. Wszyscy trzej tam się ulokowaliśmy, schowaliśmy się w dziurach i jeden drugiego obserwował. Za parkanem dojrzałem rów przeciwdeszczowy i kiedy przeszedł patrol, szybko przeczłgaliśmy się do tego rowu, a potem dalej do gęstego lasu. Kluczyliśmy dość długo, aż wreszcie trafiliśmy na leśną drogę, którą dotarliśmy do wioski. Na skraju lasu spotkaliśmy kobietę – Polkę, która udzieliła nam cennych informacji i obiecała wieczorem przysłać po nas sprytnego czternastoletniego chłopca. Tak też się stało. Chłopiec zaprowadził nas do polskiej chaty, gdzie mogliśmy się najść i wypać oraz zamienić mundury na cywilne ubrania. Ukrywaliśmy się jeszcze przez trzy dni, a potem powoli wychodziliśmy do wsi, a nawet z pewną panną udałem się do małej herbaciarni w mieście. Była to Maria Hauptmanówna, której matka była Polką, ale dziadek Ukraińcem. Dowiedzieliśmy się, że wkrótce ma przejeżdżać pierwszy pociąg do Lwowa. Przygotowaliśmy się odpowiednio i z rana byliśmy na stacji. Pociąg był przepełniony polskimi żołnierzami i jechał ze Związku Radzieckiego do granicy z Generalnym Gubernatorstwem przez Lwów. Jeńcy z zachodnich regionów Polski, na podstawie porozumienia z Niemcami, mieli jechać do domów (jak ich zapewniano). W rzeczywistości trafiali do niemieckiej niewoli. O wejściu do przedziałów nie było mowy, wspięliśmy się więc do budek, jakie były przed wagonami. Ale liczni cywile z bronią i opaskami zmusili nas do zejścia. Dopiero gdy pociąg ruszył, wskoczyliśmy na drabinki jednego z wagonów i tak dojechaliliśmy do Lwowa.

### **Lwów i droga na zachód**

We Lwowie od razu udaliśmy się do krewnych Marysi<sup>34</sup> mieszkających na Zboiskach. Było to młode małżeństwo, które dobrze sobie radziło nawet w tych trudnych czasach. Przez kilka dni spaliśmy u nich, staliśmy w długich kolejkach po czarny chleb i staraliśmy się o prowiant. Od razu drugiego dnia ze Staszkiem poszliśmy na rekonesans do miasta, gdzie spotkaliśmy różnych znajomych. Nie mając żadnych dokumentów osobistych, zgłosiłem się do Komitetu Śląskiego<sup>35</sup>, gdzie wydano mi tymczasowe zaświadczenie tożsamości. Oczywiście miałem świadków z Katowic, których wielu spotkałem wokół budynku Komitetu. Lwów był przepełniony uchodźcami z całej Polski zachodniej i centralnej. Nie było mieszkania, gdzie na podłodze nie spaliby ewakuowani. Chodząc po mieście nie spostrześliśmy, że minęła godzina osiemnasta, co oznaczało, że nie mieliśmy już szansy

<sup>34</sup> Autor wspomnień nie podaje nazwiska Marysi, ale zapewne adres otrzymał od wspomnianej wcześniej Marii Hauptmanówny.

<sup>35</sup> Chodzi zapewne o Śląski Komitet Uchodźczy we Lwowie, na czele którego stał marszałek Sejmu Śląskiego Konstanty Wolny.

na powrót do kwatery przed godziną policyjną. Weszliśmy do jakiejś kamienicy (blisko kościoła Bernardynów), zapukaliśmy do mieszkania na parterze i tam przenocowaliśmy. Następnego dnia dowiedziałem się, że we Lwowie jest przedstawicielstwo Wspólnoty Interesów – koncernu, w którym pracowałem. Było to blisko, przy ulicy Rutkowskiego. Poszedłem tam i zapytałem, czy mógłbym coś skorzystać z tytułu pracy i niepobrania pensji przed wybuchem wojny. Takiej możliwości nie było, ale zaferowano mi pobyt kwaterunkowy w Brzuchowicach pod Lwowem. Ewakuowano tam pracowników firmy, kilkuset mieszkało w domkach letniskowych. Zgodziłem się na to chętnie. Sytuację naszej trójki i tak trzeba było rozstrzygnąć. Staszek od początku mówił, że będzie wracał do Piotrkowa, a Franek (ojciec licznej gromadki dzieci) także marzył o swoich górach. Ja natomiast chciałem dostać się do armii we Francji. Najpierw wyszykowaliśmy Franka do drogi. Powiększyliśmy mu bandaż na rękę, nauczyliśmy go różnych forteli, którymi miał wzbudzać litość i zaufanie. Ode mnie otrzymał też trochę pieniędzy, po czym poszedł do punktu reewakuacyjnego. Staszek załatwiał swoje sprawy, a ja pojechałem do Brzuchowic. Tam znalazłem miejsce w jednym domku, gdzie był już zakwaterowany między innymi Bolek Kempa, którego znałem. Zacząłem się rozglądać za osobami, mającymi takie same zamiary jak ja, i wkrótce znalazłem kilku chętnych do przekroczenia granicy. Każdy na własną rękę zbierał informacje. Prawie codziennie jeździłem do Lwowa i tam spotykałem wielu przedwojennych znajomych oraz przyjaciół ojca. Najlepszą przysługę oddał mi sekretarz sądowy. Zapoznał mnie z zaufanym, zakonspirowanym oficerem, który wrócił z Francji jako wysłannik tajnych służb. Werbował przede wszystkim ludzi wyszkolonych technicznie. Krążyłem intensywnie po Lwowie, szukając uczestników wyprawy do granicy. Chętny był mgr Koraszewski<sup>36</sup>, który jednak musiał załatwić jeszcze sprawy rodzinne. Kilka razy odwiedziłem klasztor Bernardynów, gdzie komendantem grupy około 800 powstańców śląskich był porucznik Rudolf Niemczyk<sup>37</sup>. Radził mi czekać, aż wróci z Węgier jego zaufany agent. Nie posłuchałem go jednak i gdy wyruszałem na granicę, poszedłem się pożegnać. Na zachód trafił dopiero po kilku latach z armią Andersa.

Ślązacy kręcili się przeważnie wokół ulicy Rutkowskiego, klasztoru Bernardynów oraz w Kawiarni Wiedeńskiej. Chodziło się też często do restauracji Fuksa, gdzie można było dobrze zjeść. Pyszne były tam pasztety. Spotykałem wielu znajomych, ale najbardziej utkwiły mi w pamięci dwa spotkania: z Kilianem Niśkiewiczem<sup>38</sup> oraz moim kolegą z Gliwic Pawłem Kandziorą. Niśkiewicz złożył mi kondolencje z powodu śmierci brata Karola. Jak twierdził, w czasie bitwy 73. Pułku

<sup>36</sup> Zapewne chodzi o doktora Jacka Koraszewskiego (1908–1969), przed wojną pracownika, a po wojnie dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

<sup>37</sup> Rudolf Niemczyk (1894–1964), powstaniec śląski, działacz sportowy (w latach 1923–1924 prezes Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Katowicach), walczył we wrześniu 1939 roku w Katowicach w Batalionach Obrony Narodowej, później żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w latach 1942–1946.

<sup>38</sup> Prawdopodobnie chodzi o Kiliana Niśkiewicza (1902–1989) z Rybnika, działacza plebiscytowego i powstańca śląskiego, w czasie II wojny światowej za działalność konspiracyjną więzionego na Pawiaku i w niemieckich obozach koncentracyjnych: najpierw na Majdanku, a potem w Mauthausen-Gusen, skąd został uwolniony po wkroczeniu wojsk amerykańskich.

Piechoty pod Wyrami wszyscy z batalionu brata polegli. Szczęśliwie nie była to prawda, bo (jak się później okazało) brat był tylko lekko poturbowany, a ranny został dopiero pod Tomaszowem Lubelskim i tam dostał się do niewoli. Pawła Kandziorę spotkałem przypadkowo. Jak się okazało, miesiąc przed wojną wyjechał do Francji na akademickie mistrzostwa świata i zdobył tam złoty medal w szabli oraz srebrny i brązowy we florecie i szpadzie. 1 września, wracając do kraju, przekroczył granicę rumuńską. Przez Lwów usiłował dostać się do Krakowa, a potem do Katowic, ale Katowice już były odcięte, a Kraków się ewakuował. Wrócił więc do Lwowa i sypiał gdzieś w schronisku magistrackim. Pokazywał mi zdobyte medale i cały czas mówił o matce, do której był bardzo przywiązany. Namawiałem go, aby wyruszył ze mną, ale on uparł się, by wrócić do Katowic do matki. Udało mu się przedostać do domu i szybko zaangażował się w działalność konspiracyjną, za którą został aresztowany i wysłany do Oświęcimia, gdzie zginął w 1942 roku.

Pod koniec listopada wyruszyłem z umówioną grupą do Stanisławowa. Było nas pięciu: Jacek Skrzydło, Dziemba, Krzempek, Maciejewski i ja. Ze Stanisławowa mieliśmy autobusem jechać dalej na południe i postępować według wytycznych otrzymanych od lwowskiego zakonspirowanego oficera. Jednak sytuacja się zmieniła i skomplikowała, bo w Słotwinie po półgodzinnym postoju do autobusu wsiadł starszy mężczyzna w futrzanej czapce i rozpiętej kurtce, pod którą widać było mundur. Był to komendant miejscowej milicji. Każdemu sprawdzał dokumenty, w końcu całej naszej piątce kazał wysiadać z autobusu i pod eskortą zaprowadził nas na posterunek. Byliśmy dość długo pojedynczo przesłuchiwani. Dali nam kolację (odpłatnie), a na drugi dzień furmanką (za którą też musieliśmy zapłacić) przetransportowano nas do powiatowego posterunku. Tam komendant dyskutował z nami na różne tematy, też społeczno-polityczne. Był ideowym komunistą, który przed wojną siedział w Berezie. Stamtąd przewieziono nas do Nadwórnej. Widzieliśmy, jak ulicą milicja prowadzi różnych mężczyzn. Prawdopodobnie cały rejon podgórski pełen był takich uciekinierów jak my, pragnących przekroczyć granicę. Teraz przesłuchiwano nas w dużej sali, a głównym przesłuchującym był powiatowy komendant. Z tyłu na ławach siedziało dużo przysłuchujących się milicjantów. Jak się później dowiedziałem, wśród nich byli Polacy związani z podziemiem, zbierający informacje o chętnych do ucieczki. Na końcu przesłuchano też komendanta ze Słotwiny, który nas zatrzymał. Wreszcie całej piątce zakomunikowano, że mamy jak najszybciej opuścić teren przygraniczny. Poinformowano nas, że jesteśmy już teraz notowani jako podejrzani o chęć przekroczenia granicy i w razie ponownego złapania grozi nam osiem lat zsyłki na Syberię. Mnie tylko zabrano kalendarzyk kieszonkowy z różnymi notatkami i adresami, częściowo zrozumiałymi jedynie dla mnie. Zrezygnowani skierowaliśmy się na stację kolejową, ale nie było żadnych pociągów osobowych, a towarowy miał przyjechać dopiero za osiem godzin. Kiedy przechodziliśmy przez ulicę, Maciejewskiego zaczepiła kobieta w średnim wieku i poprosiła, żeby wszedł z nią do bramy, gdzie da mu chleb. Razem z nim poszedł Jacek Skrzydło. Za chwilę wrócił i zrelacjonował rozmowę. Kobieta okazała się żoną listonosza Strzyżewskiego (wylegitymowała się) i zaprosiła ich do domu, który był niedaleko. Skrzydło siedział tam dość

długo, aż w końcu, gdy się ściemniło, przyszedł po nas i oznajmił, że możemy spotkać się tam z przewodnikiem, który zmierza na Węgry. W mieszkaniu gospodarz ugościł nas, a po jakimś czasie przyszedł miejscowy proboszcz, który był aktywnym działaczem miejscowego podziemia. Ponieważ przewodnik nie nadchodził, gospodarze zaprowadzili nas do małego pokoju na strychu, gdzie mieliśmy zano-cować. Przewodnik pojawił się drugiego dnia, spisał nasze dane i kazał cierpliwie czekać, aż skompletuje się większa grupa (przeszło 70 osób). Czekaliśmy dziesięć dni, a rodzina Strzyżewskich nas ukrywała.

Wreszcie 4 grudnia 1939 roku ruszyliśmy w drogę zgodnie z instrukcją miejscowej konspiracji. Organizacją ekspedycji zajmował się pan Berezowski, którego syn Zygmunt też ruszał z nami. O godzinie 19.00 wyznaczono zbiórkę koło kapliczki przydrożnej, dwa kilometry za Nadwórną, w kierunku na Bitków. Nie wolno nam było zabierać żadnych bagaży (tylko tyle, co zmieści się w kieszeniach), mieliśmy położyć się na ziemi, nie rozmawiać i czekać na samochód, a gdy przyjedzie – wskakiwać. Jacek szedł na zbiórkę z panią Strzyżewską, Dziemba z jej córką, Maciejewski z młodszym synem, Krzempek ze Strzyżewskim, a ja sam. Wszyscy w odpowiednich odstępach. Było bardzo ciemno, ja ledwo widziałem kontury poprzedzającej mnie dwójki. Gdy doszliśmy do kaplicy, odprowadzający szybko zawrócili, a my położyliśmy się na ziemi. Na szczęście nie było jeszcze śniegu i po jakiejś godzinie oczekiwania nadjechał samochód. Zgasił reflektory i wtedy z ziemi zerwało się około 30 „cieni” i ruszyło w jego kierunku. Z samochodu wyszedł Berezowski i powiedział, że to jest próba, a za chwilę przyjedzie nasz właściwy transport. Znowu położyliśmy się na ziemię i czekaliśmy. Wreszcie przyjechał samochód ciężarowy (otwarty). Wskoczyliśmy i ułożyliśmy się jeden na drugim, aby nie było nikogo widać. Po drodze mijaliśmy pojedyncze domy. Z jednego wyskoczyli jacyś uzbrojeni ludzie, wołali za nami, a nawet strzelali, ale samochód pędził szybko i bezpiecznie dojechał do Bitkowa. Góry wokół nas były coraz wyższe, choć miejscowość rozłożyła się w dolinie. Nagle przed auto wyskoczył mężczyzna i zawołał: „zdrada”. Nakazał zsiąść z samochodu i dalej iść pieszo szczytami gór w grupach, żeby połączyć się z innymi, już znajdującymi się w Bitkowie. Była już noc, wędrowaliśmy raz w górę, raz w dół, aż wreszcie na jednym płaskim szczy-cie kazano nam usiąść i czekać. Gdy zjawiała się druga grupa uciekinierów, zaczęliśmy schodzić w dół i spotkaliśmy przywódcę, który zapytał, czy są tu Ślązacy (cho-dziło o naszą piątkę). Ustalono porządek kolumny, rozdano broń i podzielono nas na grupy pięcioosobowe, wyznaczając dowódców. Mnie przydzielono pięciu mło-dych chłopców (w tym dwóch braci Cichockich). Nakazano bezwzględna dyscy-plinę i z cichym okrzykiem „Niech żyje Polska” ruszyliśmy szlakiem niedźwiedzia.

„Szlak niedźwiedzia” nie był przesadną nazwą. Omijaliśmy bowiem drogi, osady i wszystkie miejsca, gdzie można było kogoś spotkać. Z przodu szli najlepiej zorientowani w terenie, którzy mieli lornetki. Przechodziliśmy jarami i wąwozami, w ciemnym i gęstym borze, wkrótce nasze oczy przywykły do ciemności. Nad ranem zrobiliśmy pierwszy odpoczynek, a potem zaczęliśmy się wspinać w górę. Widoki o wschodzie słońca były piękne, co poprawiało nam samopoczucie i do-dawało otuchy. Mijaliśmy kolejne wzniesienia, wchodziliśmy na szczyty, a potem

z nich długo schodziliśmy. Druga noc była już mniej nerwowa, wszyscy byli bardziej zahartowani i po krótkim odpoczynku maszerowaliśmy dalej. Jedzenie szybko się skończyło, wodę piliśmy ze strumieni. Trzeci dzień był najbardziej męczący. Po pokonaniu wzniesienia Maksymiec dotarliśmy do ostatniej przeszkody – góry Sywuli (1836 m n.p.m.). Wejście na nią dla niektórych było już bardzo trudne. Kapitana artylerii, który był rekonwalescentem (rany odniósł w czasie walk na wybrzeżu), musieliśmy wnosić na górę. Jedyna kobieta, żona inżyniera Zubrzyckiego z Rudy Śląskiej (idąca z mężem), też miała chwile słabości. Wreszcie zobaczyliśmy szczyt Sywuli, a na nim poruszającą się pod wpływem wiatru makietę żołnierza z karabinem. Dla zamaskowania się na śniegu (którego w górach było już coraz więcej) założyliśmy białe prześcieradła, a kto nie miał takiej ochrony, oblepiał się śniegiem. Schodziliśmy coraz stromiej, przed nami były tylko niskie krzaki. Zaczynało się zmierzchać, wszyscy byli już bardzo zmęczeni i coraz bardziej zdenewrowani. Zatrzymaliśmy się w oczekiwaniu na dalsze polecenia prowadzących, którzy studiowali mapę turystyczną. W końcu weszliśmy na wąską dróżkę i gęsiego schodziliśmy w dół. Skończyła się gruba warstwa śniegu i coraz łatwiej można było maszerować. Wreszcie dowódca ogłosił, że jesteśmy już na Węgrzech. A więc udało się!

W wąwozie, między wysokimi świerkami, rozbiliśmy obozowisko. Nazbieraliśmy suchych gałęzi spod drzew i za chwilę płonęło kilkanaście ognisk, przy których suszyliśmy ubrania i ogrzewaliśmy się. Zapaliłem jednego z ostatnich trzech papierosów, a w kieszeni miałem ostatnie 15 złotych polskich. Tak nam upłynęła noc. Nad ranem zesliśmy w dół rzeki. Dowódca kazał oddać broń, schował ją do worka i gdzieś ukrył, wiedział bowiem, że będzie tędy wracał. Około południa spotkaliśmy budkę strażniczą z kilkoma żołnierzami węgierskimi. Powitali nas bez żadnych zbędnych pytań i poczęstowali żółtym, kukurydzianym chlebem. Jakaż była nasza radość! Szliśmy dalej wzdłuż rzeki, aż dotarliśmy do szosy. Mimo zmęczenia ustawiliśmy się w kolumnę czwórkową i dalej maszerowaliśmy jak wojsko, śpiewając po kolei wszystko, co się w wojsku śpiewało. Pod wieczór dotarliśmy do jakiejś wioski i pierwszy spokojny nocleg spędziliśmy na słomie w wiejskiej chacie. Każdy spał jak zabity, to była najlepsza noc od lat. Na drugi dzień z rana znowu marsz. Około południa doszliśmy do jakiejś większej miejscowości, gdzie była restauracja. Tam już czekała na nas żandarmeria wojskowa. Dostaliśmy prawdziwy obiad, a potem rozpoczęły się przesłuchiwanie. Ponieważ znałem język niemiecki, wzięto mnie za tłumacza i tak porozumiewaliśmy się z Węgrami. Następnie w eskorcie miejscowych żandarmów odprowadzono nas do pobliskiej stacji kolei wąskotorowej. Potem przesiedliśmy się na zwykłą koleję i dojechaliśmy do Budapesztu, a tam tramwajem do twierdzy w Peszcie. Stara, austriacka twierdza zapełniona już była Polakami. Zgodnie z obowiązującymi wtedy przepisami potraktowano nas jako nielegalnie przekraczających granicę i musieliśmy odsiedzieć trzy dni. Drugiego dnia policja węgierska zrobiła nam zdjęcia i przeszliśmy do dokładnej identyfikacji w obecności komisji polsko-węgierskiej. Polską stronę reprezentował przedstawiciel naszego konsulatu w Budapeszcie. Na 73 osoby większość ujawniła swoje dane, uznano nas za cywilów i skierowano do miasteczka Eger, gdzie mieścił się obóz, którego komendantem był inżynier



Długoszewski. Mieszkaliśmy najpierw w dużej sali dawnej twierdzy, a potem niektórzy z nas przeniesieni zostali do prywatnych domów. Ja dostałem się z pięcioma kolegami do domu właścicielki restauracji, która dobrze nas żywiła, a magistrat płacił jej za nasze utrzymanie. Codziennie o godzinie 9 musieliśmy meldować się w komendzie obozu. Tam też dochodziła poczta i mogliśmy pisać listy. Na mojej kwaterze mieszkali: syn naszego organizatora z Nadwórnej Zygmunt Berezowski, zawodowy sierżant piechoty o imieniu Bartosz, były mistrz bokserski wojska polskiego, student z Krakowa Tadek (dostał się później do Brygady Karpackiej), a także wywiadowca Pałaszewski, który wracał jeszcze kilka razy do Polski na zlecenie Polskiej Misji Wojskowej. Po powrocie z jednej z takich wypraw dostał odpowiednie wynagrodzenie, za które kupił baryłkę najlepszego wina tokaj, nosił ją na plecach i stawiał wszystkim.

Trzy razy do Eger przyjeżdżali przedstawiciele komisji Komitetu Pomocy Uchodźcom Polskim z przewodniczącym Stanisławem Ligoń<sup>39</sup>. Dwa razy wypłacono nam po 10 pengó, a raz 15 pengó<sup>40</sup>. Musiało nam to starczyć na znaczki pocztowe, fryzjera i trochę papierosów. W koszarach w twierdzy znajdował się obóz internowanych oficerów polskich, gdzie przebywało kilkaset osób już od września 1939 roku. Obok starszych oficerów sanacyjnych, odnoszących się z rezerwą, a nawet wrogo do generała Władysława Sikorskiego, byli też młodszy, którzy prowadzili dla nas tajne wykłady z języka francuskiego, silników samochodowych oraz terenoznawstwa. Lekarze wojskowi udzielali porad, a także prowadzili badania lekarskie i kwalifikację do armii polskiej na zachodzie. W twierdzy dostałem płaszcz wojskowy, nosiłem czapkę narciarską, buty saperki, spodnie cywilne, marynarkę sportową (kupioną jeszcze na handlu we Lwowie) oraz rękawice (każdą inną), a na nogi zamiast skarpet zakładałem onuce. Ponieważ miałem tylko jedną koszulę, to gdy ją prałem, stałem koło pieca i czekałem, aż się wysuszy albo wkładałem marynarkę. Czas wypełniały mi wykłady, korespondencja z rodziną w kraju, a sporadycznie różne rozrywki. Raz znajomy policjant węgierski (z pochodzenia Słowak) zaprosił mnie na zabawę ludową, gdzie Węgrzy bawili się z takim temperamentem, że miejscowi policjanci musieli interweniować. Innym razem, po wypłacie zapomogi, poszliśmy za namową kolegi do jakiejś winiarni. Nasz „wodzirej” kazał podać litr wina grzanego oraz trzy butelki zimnego, ponadto śledziki i słoninę z papryką. Skutki były fatalne, zaczęliśmy wszystko widzieć w trzech wymiarach, ale trzymaliśmy się razem i jakoś dotarliśmy na kwaterę. Wgramoliłem się na swoje górne łóżko i zasnąłem. Było to 24 grudnia 1939 roku, tak spędziłem moją pierwszą Wigilię za granicą. Kolejna nasza „ impreza ” odbyła się w piwniczce węgierskiego chłopca, który tak gościnnie częstował nas winem, że wyszliśmy z piwniczki na czworakach. Pamiętam jeszcze jedno „ciche” spotkanie na zapleczu lokalu naszej „mamy” (tak nazywaliśmy gospodynię, u której mieszkaliśmy), kiedy żegnaliśmy kilku kolegów odjeżdżających na drugi dzień do Budapesztu i dalej do Jugosławii.

<sup>39</sup> Stanisław Ligoń (1879–1954) – malarz, ilustrator, działacz społeczno-polityczny na Górnym Śląsku, w czasie II wojny światowej organizator struktur emigracyjnych na Węgrzech oraz członek Komitetu Pomocy dla Uchodźców Polskich.

<sup>40</sup> Obowiązująca wtedy waluta węgierska.

W marcu 1940 roku zbliżał się i mój termin wyjazdu. Po wczesnych świątach wielkanocnych pożegnałem się listownie (odpowiednim układem treści) z rodziną w kraju i już końcem marca byłem w Budapeszcie. Stamtąd (po jednym noclegu) przewieziono nas samochodami na boczny tor stacji, gdzie stały już wagony dla „turystów Sikorskiego”. Wagony doczepiano do planowych pociągów, jadących na południe Węgier. Wylądowaliśmy w miejscowości Babócsa<sup>41</sup>, gdzie zakwaterowano nas w wiejskich chałupach. Każdy dostał dużą kopertę, w której były jego dokumenty wojskowe i pieniądze jugosłowiańskie (dinary). Było ich dużo, ale potem przekonaliśmy się, że nie miały wielkiej wartości. Dwa dni po przybyciu zebrano nas (120 osób) i wymaszerowaliśmy o godzinie 23 w kierunku granicy. Najpierw poszliśmy lasem nad rzekę Drawę, gdzie czekali przewoźnicy, którzy przeprawiali po 11 osób jednorazowo na drugi brzeg, gdzie spotykaliśmy się przy starym młynie. Posterunki jugosłowiańskie wskazywały nam kierunek. W młynie doczekaliśmy do rana, potem trzeba było przejść odcinek około dwóch kilometrów do kolejki wąskotorowej i za półtorej godziny byliśmy w Zagrzebiu. Tam zatrzymaliśmy się na trzy dni, mogliśmy nawet zwiedzać miasto. Zdażyłem dwa razy pójść do kina i kupić sobie słodką bułkę. W trzecim dniu samochodami ciężarowymi przewieziono nas w okolice dworca kolejowego, gdzie na bocznych torach stały specjalne wagony. Wsiadliśmy, a wagony (jak poprzednio) dołączono do pociągu dalekobieżnego jadącego na południe. W nocy niewiele było widać, ale nad ranem mogliśmy już podziwiać widoki górskie, bo cała trasa wiodła terenami górzystymi. W południe drugiego dnia dojechaliśmy do Splitu, gdzie jakiś pułkownik z miejscowej placówki poinformował nas, że statek do Francji będzie dopiero za dwa tygodnie. Rozlokowano nas w 11 miejscach noclegowych, z których każdy miał swojego komendanta. Nie wolno nam było samodzielnie poruszać się po mieście, bo mogliśmy spotkać niemieckich turystów. Korespondencja mogła być wysyłana, ale tylko po ocenzurowaniu przez miejscową komendę.

Dostałem się do pensjonatu „Split” nad samym morzem. Duży budynek stał w środku ogrodu w przepięknej okolicy. Po drugiej stronie drogi (prowadzącej wzdłuż wybrzeża) rozciągał się teren górzysty. Były już pierwsze dni kwietnia i słońce przygrzewało. Codziennie kąpaliśmy się lub wysiadaliśmy na przeciwległych wzgórzach. Nasz pensjonat oddalony był o kilka kilometrów od centrum Splitu i mieliśmy spokój, ale inni koledzy (mieszkający bliżej centrum) zetknęli się w umywalni z niemieckimi turystami. Z kolei jeden z naszych wywiadowców zidentyfikował szpiegów niemieckich, o których powiadomił władze jugosłowiańskie. Przed opuszczeniem Splitu otrzymaliśmy instrukcję, że możemy wysłać do kraju ostatnią pocztówkę ze związłą i ukrytą treścią, bez żadnych danych o wyjeździe. Ja swoją zaadresowałem nie do rodziców, ale do znajomych (Kalusów). Kiedy oddawałem kartkę komendantowi okazało się, że przed wojną był prezesem Katowickiego Klubu Łyżwiarskiego<sup>42</sup> i znał Erwina oraz jego siostrę, uprawiających łyżwiarstwo figurowe. Dopisał więc swoje pozdrowienia. Jak się później dowiedziałem, rodzice kartkę otrzymali.

<sup>41</sup> Wieś na południu Węgier, obecnie przy granicy z Chorwacją.

<sup>42</sup> Chodzi zapewne o Śląskie Towarzystwo Łyżwiarskie Katowice.

Wreszcie przyplłynął grecki statek „Patris”, który miał zabrać około 600 osób. Do portu szliśmy pojedynczo lub dwójkami, każdego osobiście sprawdzał i zęgnął dowódca placówki. Wypływając wieczorem, obserwowaliśmy oddalające się oświetlone nabrzeże z drzewami palmowymi. Statek przeciskał się przez różne zatoki, kluczył pomiędzy skałami i małymi wysepkami, aż wreszcie wypłynął na pełne morze. Poszliśmy spać i wtedy rozszalał się nagły sztorm. Z kilkoma kolegami znajdowaliśmy się w kajucie dziobowej, co niestety spowodowało chorobę morską (wymioty i bóle żołądka). W końcu z przemęczenia usnęliśmy, a rano morze się uspokoiło i słońce zaczęło pięknie świecić. Poszliśmy do ogólnej umywalni, a starszy Grek z obsługi statku odebrał od nas odcinki kart żywieniowych i przyniósł śniadanie. Po sztormowej nocy o jedzeniu nie było mowy, wypiliśmy tylko trochę herbaty i wyszliśmy na świeże powietrze posiedzieć na ławkach i odetchnąć. Statek płynął blisko włoskiego brzegu, po lewej stronie widzieliśmy Sycylię z wulkanem Etna. Pogoda była wspaniała, długo obserwowaliśmy krajobraz, aż wreszcie znowu znaleźliśmy się na otwartym morzu i tylko gdzieś tam mijaliśmy jakieś wysepki. Na środku okrętu spora grupa intensywnie grała w karty. Zacząłem się rozglądać za znajomymi. Jeszcze na Węgrzech nawiązałem kontakt listowny z Jurkiem Klimondą, podchorążym z Pewli Małej. Jego węgierski adres dostałem od Marysi Ignacówny, z którą obaj sympatyzowaliśmy przed wojną. Wiedziałem, że również oczekuje przerwania na zachód i teraz, obserwując grających, zdawało mi się, że jednym z nich jest właśnie Jurek. Zanim zdążyłem zapytać, on sam krzyknął: „Józek, to ty?”. Zaczęły się opowiadania o Marysi, która w kraju od razu zaangażowała się w konspirację i pomoc poszkodowanym rodzinom. Jak się okazało, także mojej rodzinie dostarczała potrzebne lekarstwa. Na statku spędziliśmy jeszcze jedną noc. Długo siedziałem na zewnątrz, bo bałem się kołysania w kajucie na dziobie, ale w końcu z pokładu przegonili mnie marynarze.

### **W wojsku polskim na zachodzie (Francja – Wielka Brytania – Francja)**

Do Marsylii statek dopłynął w południe i najpierw długo kluczył między różnymi jednostkami pod różnymi banderami. Wreszcie przybił do jednego z nabrzeży, gdzie stali oficerowie polscy we francuskich mundurach. Orkiestra wojskowa zagrała polski hymn, a my mieliśmy łzy w oczach. Po tylu trudach, przygodach, ukrywaniu się, ciągłej konspiracji będziemy mogli znowu, jak równi z równymi, zmierzyć się z wrogiem i nie dzielić losu jeńców wojennych. Kolumna autobusów zawiozła nas krętymi serpentynami w góry, niedaleko Marsylii, do pierwszego polskiego obozu etapowego. Od razu zauważyliśmy nasze flagi i żołnierzy w polskich mundurach. Panował duży ruch. Jakieś jednostki maszerowały, inne miały zbiórkę. Pobraliśmy manierki, menażki i chlebaki, po czym rozlokowaliśmy się w barakach. Następnie dwie komisje (polska i francuska) identyfikowały nasze stopnie wojskowe, staż i kwalifikacje. Po południu odbył się mecz piłki nożnej polskiej drużyny z żołnierzami armii angielskiej. Nasi wygrali, ale w zespole było sporo przedwojennych pierwszoligowych graczy. Pod wieczór kupiliśmy z Jurkiem w kantine butelkę wina za 4 franki i powędrowaliśmy na wzgórze. Z daleka widać było wybuchy i ataki niemieckich bombowców.

W obozie spotkałem dużo znajomych z czynnej służby, m.in. Mietka Kaliszewskiego z Krakowa. Posegregowano nas według specjalności wojskowej i po dwóch dniach pociągiem odjechalśmy do Bretanii. Jeszcze nie w mundurach, ale już w kompaniach, dotarliśmy do stacji zbornej wojska polskiego w Bressuire. Nie robiła ona dobrego wrażenia. Spaliśmy na strychach różnych szop, codziennie do jedzenia było tylko mięso królicze. Braliśmy udział w różnych marszach i ćwiczeniach. Spotkałem wtedy mojego ostatniego kierownika księgowości Jana Makosza, który pracował jako wywiadowca. Ofiarował mi swoje stare skarpetki, bo moje całkowicie się podarły. Po kilku dniach pociągiem pojechalśmy do największego polskiego obozu Coëtquidan. Był już początek maja 1940 roku. W obozie działały szkoły oficerskie i podoficerskie oraz różne kursy. Przydzielono nas do kompanii zapasowej łączności, spaliśmy w dużych barakach, na piętrowych łóżkach. Nareszcie dostaliśmy mundury, buty i skarpetki wojskowe, drelichowe ubrania ćwiczebne i okrągłe czapki o różnych kolorach. Codziennie (szczególnie w nocy) następowały niemieckie naloty. Chowaliśmy się w specjalnych dołach. 10 maja 1940 roku rozpoczęła się ofensywa niemiecka na Francję. W kantine zainstalowane były głośniki radiowe. Z każdej jednostki dwie osoby chodziły słuchać komunikatów, aby je później przekazać kolegom. Także zgłosiłem się do tego zadania, a wieści nie były wesołe.

Po jałowych marszach i ćwiczeniach ze starymi karabinami wyłoniono z naszej kompanii zapasowej cały pluton podoficerów łączności. Samochodami zawieziono nas do Wersalu do Centrum Szkolenia Łączności. Mieliśmy tam zapoznać się ze sprzętem łączności francuskiej, a potem otrzymać przydziały do którejś z polskich dywizji. Wiedzieliśmy jednak, że 1. i 2. dywizja są już na pierwszej linii frontu, 3. i 4. formują się w Coëtquidan. W Wersalu natomiast formowała się 10. Brygada Kawalerii Pancernej. Front był już w północnowschodniej Francji, codziennie były naloty. W słynnym parku wersalskim uciekaliśmy do leńów po bombach. W Wersalu spotkaliśmy dużo znajomych oficerów i podoficerów łączności. Dowiedziałem się też, którzy ze znanych mi służą już w Dywizjach Brygady Podhalańskiej w Norwegii. Był tam porucznik Adolf Kempny (prezes Oddziałów Młodzieży Powstańczej na Górnym Śląsku), który szukał mnie w Coëtquidan. Od jednego podchorążego dostałem adres Stanisława Mastalerza, byłego sekretarza Związku Powstańców Śląskich. Pracował w sztabie polskim w Paryżu. Napisałem do niego list z pytaniem o kolegę Franciszka Galbierza z Katowic. W odpowiedzi napisał do mnie sam Galbierz, który przyjechał do Paryża jako kurier i po przeszkoleniu miał wracać przez Włochy do kraju. Prosił mnie, abym choć na jeden dzień przyjechał do Paryża. Dostałem przepustkę, ale jechać już nie mogłem. W Wersalu postawiono nas w stan alarmowy. Nareszcie dostaliśmy prawdziwe i porządne mundury koloru khaki, uzbrojenie i wyposażenie. Kończyliśmy zapoznawanie się ze sprzętem, choć instruktorzy francuscy byli beznadziejni. Nasz pluton włączony miał być do 10. Brygady Kawalerii Pancernej, ale sama Brygada dopiero w ostatniej chwili otrzymała sprzęt (czołgi, samochody). Wobec tego z całego plutonu podoficerów wyłoniono część, a reszta pozostała na drugi rzut. Pierwszą grupę przydzielono od razu do małej kompanii, która na drugi dzień już odmaszerowała w pole wraz z częścią Brygady Pancernej, biorącej udział w wal-

kach, a potem, otoczona, przebijała się z generałem Maczkiem przez linie niemieckie do Marsylii.

Takiego bałaganu organizacyjnego nikt się nie spodziewał. Francuzi zawiedli na całej linii. Następnego dnia najbliższa okolica była zamglona z powodu dymów maskujących znad Sekwany. Reszta plutonu, w której i ja się znalazłem, dostała sześć samochodów ciężarowych typu Camion, pokrytych brezentem. Uzbrojono nas w karabiny maszynowe i pod dowództwem porucznika Wodarskiego wyjechaliśmy w kierunku południowo-zachodnim, jako osłona ewakuacji innych jednostek z Rządu Polskiego. Teren, po którym się poruszaliśmy, był już przeważnie próżnią operacyjną. Francuzi się wycofali, a wróg dopiero się zbliżał. W końcu samochody załadowaliśmy na pociąg i jeździliśmy w różnych kierunkach. W jednym dniu byliśmy dwukrotnie na tej samej stacji. Później maszerowaliśmy pieszo, potem znowu jechaliśmy samochodami. W Bordeaux spaliśmy pod samochodami. Stale były bombardowania, a my szukaliśmy statków. Około 20 czerwca byliśmy w porcie Le Verdon. Tam w lasku przy nabrzeżach czekaliśmy przez trzy dni na statki angielskie. Rano budziły nas walki powietrzne myśliwców. Byliśmy z dala od wałów nadbrzeżnych i urzędów portowych. Żołnierze francuscy byli zadowoleni, że Philippe Pétain podpisał rozejm (kapitulację) z Niemcami. Myśmy przeklinali Francuzów, bo nas znowu zawiedli. Trzeciego dnia z dala od brzegu stanął angielski statek handlowy, dziesięcioletni „Delius”. Dwiema łodziami (po 80 osób) zaczęliśmy żeglugę między brzegiem i statkiem (odległość około 500 metrów). Byliśmy ukryci w lasku przybrzeżnym, potem grupami wykonaliśmy skok przez otwartą przestrzeń i dotarliśmy do łodzi. Podczas oczekiwania byliśmy kilkakrotnie bombardowani. Sześć polskich myśliwców przez prawie cały dzień robiło osłonę w powietrzu, ale raz, gdy musieli odlecieć (chyba po paliwo), przyleciał jeden pojedynczy sztukas niemiecki i rzucił cztery bomby na statek, ale padły obok, wywołując fontanny wody. Właśnie wtedy wróciła łódź i moja grupa miała do niej wejść. W ostatniej chwili wręczono nam po bochenku chleba, bo Anglicy uprzedzili, że nie mają żadnego jedzenia. Nasz dowódca porucznik Wodarski (bardzo rozgarnięty i bojowy) już wcześniej nam o tym mówił i namawiał, by w czasie oczekiwania postarać się o wyżywienie. I tak dwóch kolegów załatwiło beczkę czerwonego wina, trzech innych beczkę sardynek, ja zaś ćwierć worka naturalnej kawy, a dla siebie miałem pełno kostek bulionów. Na statku dostałem od marynarzy wrzątek, do tego wrzucałem suchary i miałem rosół gotowy. Podróż miała trwać kilka dni. Na pokładzie była zbieranina różnych jednostek, ludzie ewakuowanych nawet z Belgii oraz bardzo dużo grup polskich oficerów, którzy nie mieli przydziału. Nasz pluton był jedyną zwartą, zdyscyplinowaną i dobrze uzbrojoną jednostką, złożoną z samych podoficerów, dlatego pełniliśmy funkcje porządkowe. Statek miał cztery działa przeciwlotnicze z obsługą. Myśmy wzmocnili obsługę kilkoma karabinami maszynowymi.

Statek był dość duży, a ponieważ nie miał żadnych towarów, lokowaliśmy się w lukach, gdzie zazwyczaj przewożono ładunki. W dolnych partiach ksiądz kapelan pułkownik Jan Szymała<sup>43</sup> odprawiał jedną mszę za drugą. Ja na górnym pokła-

<sup>43</sup> Jan Szymała (1889–1962), pułkownik, uczestnik powstań śląskich, kapelan 74. Górnosląskiego Pułku Piechoty oraz I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

dzie obserwowałem kolejne przyplływające łodzie z wojskiem. Wreszcie odpłynęliśmy w asyście dwóch małych kornet angielskiej marynarki wojennej, które miały nas osłaniać. Pływały zawsze w pewnym oddaleniu od nas i światłami sygnalizowały zagrożenie. Oddaliliśmy się od brzegów francuskich i wypłynęliśmy z Zatok Biskajskiej. Statek wziął kurs na pełne morze, aby uniknąć ataków niemieckich samolotów i łodzi podwodnych, które operowały przede wszystkim w strefie przybrzeżnej. Zanosilo się na burzę, a statek naładowany był kilkoma tysiącami wojska. Zaczęły się przechyły raz w prawo, raz w lewo. Trzeba było się trzymać, aby nie zostać zmytym z pokładu. Sine chmury z przedzierającymi się kolorami czerwieni i żółci tworzyły barwną, choć groźną dekorację, ale w końcu burzy i sztormu na szczęście nie było, mimo że fale dochodziły do wysokości kilku pięter. Na drugi dzień wystraszyła nas obsługa dział przeciwlotniczych, która (zgodnie z zasadami) przestawiła lufy. Kapitan statku poprosił żołnierzy o puszki z konserwami i kazał kucharzowi ugotować coś w rodzaju gorącej, gęstej zupy. Na pokładzie ustawili się w kolejce liczni, wygłodniaли żołnierze, ale ochotników do przyniesienia kotłów nie było. Dlatego poszedł nasz pluton i dzięki temu od razu dostaliśmy jedzenie, a w kolejce niektórzy nawet bili się menażkami. Pojawił się też problem sanitarny, bo statek miał niewiele kabin, które użyczał tylko chorym. Reszta musiała załatwiać się do ustawionych wiader albo wprost do morza. Następnego dnia pogoda się poprawiła, a nad nami czasami pojawiały się wojskowe samoloty angielskie, co było znakiem, że jesteście nadzorowani. Wreszcie po kilku dniach dobiliśmy do portu w Liverpoolu. Można było pomyśleć, że wojna za nami, ale zaraz rozległy się syreny alarmujące naloty. A więc wojna trwała! Przybiliśmy gdzieś do lewej strony nabrzeża, natomiast z prawej strony basenu portowego dobiegały jakieś odgłosy pożegnania – były to jednostki brytyjskie udające się na Bliższy Wschód. Wokół pełno było statków odpływających i przyplływających.

Zeszliśmy ze statku i po ustawieniu w kolumny pomaszzerowaliśmy w kierunku stadionu sportowego. Przemarsz w zwartym i uporządkowanym szyku przez ulice miasta przerodził się w manifestację miejscowej ludności na cześć Polaków. Rzucano nam kwiaty, papierosy i słodycze. Byliśmy jedynymi sprzymierzeńcami Anglików w toczącej się wojnie. Na stadionie czekaliśmy dość długo, aż przyszły odpowiednie dyspozycje, a potem pociągami osobowymi pojechaliśmy do Glasgow, gdzie znowu znaleźliśmy się na dużym stadionie i tam przebywaliśmy (na trybunach) przez trzy dni. Potem przenieśliśmy się na południe od Glasgow, do Douglas Water, a potem do Crawford. Tam staliśmy obozem w górach, w ośmioosobowych okrągłych namiotach. Wystawiliśmy posterunki z karabinami maszynowymi dla obserwacji i obrony przed niemieckimi samolotami, które nieraz nisko nad nami latały. Niemcy przygotowywali się do inwazji na Wielką Brytanię. Nasz status prawny był dopiero w trakcie regulowania, dlatego byliśmy jeszcze w mundurach francuskich, otrzymywaliśmy stosunkowo mały żołd i mieliśmy ograniczenia w poruszaniu się. Po jakimś czasie polskie władze podpisały układ wojskowy, dostaliśmy angielskie mundury i żołd taki jak Anglicy, choć bez dodatków. Obok ćwiczeń wojskowych uprawialiśmy różne sporty, pełniliśmy warty i intensywnie ćwiczyliśmy alfabet Morse'a, bo czekało nas przeszkolenie na radio-

stacjach wojskowych. W nowych mundurach mogliśmy już wybierać się na przepustki. Okolica była usiana obozami wojskowymi. Pojechałem więc na jeden dzień do Glasgow. Zwiedziłem pobieżnie miasto i poszedłem zobaczyć szkocką zabawę folklorystyczną. Innym razem wybraliśmy się do Douglas Water piechotą i spotkaliśmy samochód prowadzony przez sympatyczną pannę, która podrzuciła nas na miejsce. Zawarłem z nią umowę, że podczas mojego pobytu w Wielkiej Brytanii będzie moją siostrą. Odtąd przysyłała mi skarpety, swetry i szaliki robione własnoręcznie. Poznawaliśmy też coraz więcej Szkotów, którzy odnosili się do nas serdecznie.

Ponieważ lato powoli dobiegało końca, dla nas rozpoczynał się kolejny etap pobytu. Posegregowano nas w jednostki według specjalności wojskowej. W pierwszym rzędzie stworzono 10. Brygadę Kawalerii Pancерnej (BKP), gdy generał Maczek nareszcie przedostał się do Anglii. Zorganizowano też Brygadę Strzelców, w którą włączono resztę Brygady Podhalańskiej (w formie batalionu). Powstały oddziały szkieletowe I Korpusu oraz 16. Brygada Pancerna. Z nadmiaru oficerów utworzono oficerskie brygady kadrowe. Zaczęliśmy się rozjeżdżać. Najliczniejsza 10. BKP objęła odcinek wybrzeża północno-wschodniej Szkocji (od Montrose przez Arboath do Carnoustie), na wypadek inwazji. W niedalekim porcie Dundee stacjonowało kilka jednostek Polskiej Marynarki Wojennej. W samym Dundee utworzono liczne szkoły podchorążych i Centrum Wyszkolenia Łączności. Dowództwo 10. BKP ulokowano w miasteczku Forfar, a dowództwo I Korpusu w Bridge of Earn. Wszystkie jednostki zlokalizowane były stosunkowo blisko siebie.

Nasza służba w Wielkiej Brytanii zaczęła się w momencie, gdy rozpoczynała się bitwa o Anglię. Każdy kawałek brzegu stawał się linią frontu. Polskie jednostki, wyposażone w sprzęt i broń, nadzorowały wyznaczony odcinek. Piechota na zmianę znajdowała się w bunkrach i schronach, a artyleria gotowa była do strzału. Patrole krążyły między placówkami, a meldunki ze wszystkich odcinków płynęły drutami telefonicznymi, radiostacjami, gońcami motorowymi, a nawet gołębiaми pocztowymi. Należałem teraz do Szwadronu Łączności 10. BKP z przydziałem do ośrodka łączności Brygady. Byliśmy plutonem sztabowym i zajmowaliśmy duże pomieszczenie w willi ukrytej w głębi ogrodu, gdzie znajdował się cały sztab i skąd generał Maczek kierował swoim wojskiem. Patrolowano wybrzeże, gdy w pobliżu przepływały konwoje niemieckie albo wypatrywano niemieckich łodzi podwodnych. Niedaleko nas (w części angielskiej) w nocy wylądowała taka łódź i wzięto do niewoli zaskoczoną obsługę dział. To były próby zwiadowcze. Mimo, że główny wysiłek Niemców szedł na Londyn i okolice, bombardowano także obiekty w Szkocji i Irlandii Północnej. W takie noce, przy zasłoniętych oknach, miałem nieraz służbę i przez całą noc odbierałem i nadawałem meldunki. Nad nami ciągnęły szyki niemieckich bombowców, które szły z Norwegii przez Szkocję na Belfast. Bombardowano też Glasgow i Dundee. Przy alarmach nadawałem w pierwszej kolejności do stanowisk artylerii przeciwlotniczej, potem szły meldunki z poszczególnych odcinków i przesyłano je do okręgowych dowódców angielskich. Z kolei gońcy motocyklowi naszego szwadronu wozili pocztę służbową z całego

naszego odcinka. W ośrodku łączności Brygady do południa przeważnie byli: dowódca plutonu porucznik Tadeusz Burdziński (oficer zawodowy)<sup>44</sup>, podporucznik Tadeusz Daszkiewicz (zastępca) oraz sierżant M. Runowski. Do południa panował największy ruch, gdyż w budynku pracował cały sztab i na służbie było trzech telefonistów. Po południu dyżurowało dwóch telefonistów do obsługi centrali i odbioru telefonogramów. W początkowym okresie na każdej zmianie obecny był tłumacz, ale z czasem przestał być potrzebny. Poza pełnieniem służby w ośrodku łączności, braliśmy często udział w różnych ćwiczeniach, a także przygotowywaliśmy się do przyszłej reorganizacji, na potrzeby której szkolono w tym kierunku kadry. Oficerowie i szeregowcy wyjeżdżali do różnych angielskich centrów szkolenia specjalistycznego.

Skończyła się bitwa o Anglię. Niemcy doznali ogromnych strat w lotnictwie i na morzu, zbombardowano koncentrację ich statków i barek przygotowanych do inwazji. Angielskie i polskie lotnictwo, mimo strat, rosło w siłę. Coraz częściej bombardowano teren Niemiec. W roku 1941 w jednostkach polskich rozpoczął się wzmożony ruch. Odbywaliśmy coraz więcej ćwiczeń, np. przerzuty wojska promami, lądowanie jednostek pływających. Służby nocne nie były już takie „alarmowe”, jak w 1940 roku. Teraz Niemcy tylko od czasu do czasu przeprowadzali naloty na specjalnie wybrane cele. Anglicy formowali swoje nowe jednostki, a cała nasza energia szła na szkolenie oraz tworzenie jednostek pancernych z prawdziwego zdarzenia, z nowoczesnymi czołgami. Docierali do nas Polacy, którym udało się przedostać ze Szwecji, Francji i innych krajów, trwał też werbunek w Kanadzie i Ameryce. Ponadto, po udanych walkach na Bliskim Wschodzie, przybywali więźci do niewoli polscy Ślązacy i Wielkopolanie. Życie kulturalne ograniczało się do miejscowych kin, dancinów, odwiedzin zaprzyjaźnionych rodzin szkockich i angielskich oraz urlopowych wyjazdów do Glasgow i Edynburga. Wiadomości z kraju czerpaliśmy tylko z prasy i radia. Bardzo rzadko ktoś otrzymywał (przez Czerwony Krzyż via Portugalia) jakąś kartkę z kilkoma lakonicznymi słowami: „żyją lub nie”. Moja korespondencja z krajem urwała się już w Jugosławii.

Agresja na ZSRR 22 czerwca 1941 roku wywarła na nas wszystkich ogromne wrażenie. Wiedzieliśmy, że wojna nabiera rozmachu i wierzyliśmy, że także my odegramy w niej swoją rolę. Po wyjeździe Władysława Sikorskiego do Moskwy i podpisaniu porozumienia o utworzeniu polskiej armii w ZSRR w naszym sztabie zapanował większy ruch personalny. Zmieniali się funkcyjni, stale też łączyliśmy telefony ze sztabem w Londynie. Raz, na nocnej służbie, musiałem dzwonić do prywatnych kwater oficerów, którym polecono pakować walizki i wyjeżdżać do ZSRR. W lecie 1941 roku opuściliśmy na dwa miesiące Forfar i przenieśliśmy się do Cupar na czas większych ćwiczeń. W terenie reorganizowano kolejne jednostki, zatwierdzone też były plany utworzenia 1. Dywizji Pancernej z 10. Brygady Kawalerii Pancernej. Wyjechaliśmy z gościnnego Forfar, którego mieszkańcy obdarzy-

<sup>44</sup>Tadeusz Stanisław Burdziński (1908–1970), oficer Wojska Polskiego, w czasie II wojny światowej najpierw w PSZ (dowódca plutonu łączności w 10 BKP), a po przeszkoleniu jako cichociemny przerzucony do okupowanej Polski wziął udział w powstaniu warszawskim; wzięty do niewoli pozostał po wyzwoleniu do końca życia na emigracji.



li nas przyjaźnią, co pozwoliło nam odzyskać równowagę duchową i żyć nie tylko wojną, wiadomościami z frontu oraz troską o losy rodziny w kraju.

Przeniesiono nas do hrabstw: Berwickshire, Selkirkshire i Roxburghshire, a dowództwo tymczasowo do Galashiels, a niebawem do Melrose. Porucznik Burdziński poleciał do Polski jako cichociemny. Po dwóch miesiącach ja i Kasprzycki odkomenderowani zostaliśmy na kurs radiotelegrafistów w Galashiels, a potem do Melrose na dalsze szkolenie – do plutonu radiotelegraficznego. Z dawniejszego dowództwa 10. BKP utworzono nowe dowództwo 1. Dywizji Pancерnej, do którego napływali nowi, wyżsi oficerowie. Stale organizowano szkolenia i kursy wyjazdowe dla oficerów, podoficerów i żołnierzy, stale też napływał nowy sprzęt: motorowy, techniczny i radiowy. Batalion Łączności zorganizowany był następująco: 1. Szwadron, który liczył przeszło 300 osób i przeszło 100 pojazdów (z motocyklami włącznie), 2. Szwadron obsługiwał grupę artylerii (4 pułki), 3. Szwadron należał do 3. Brygady Piechoty Zmotoryzowanej, 10. Szwadron należał do 10. Brygady Kawalerii Pancерnej, a szwadron dowodzenia był po prostu parkiem remontowym. Batalion Saperów miał też Pluton Łączności<sup>45</sup>. Odbýwały się liczne ćwiczenia, od kilkudniowych do kilkutygodniowych. Oprócz ćwiczeń radiotelegraficznych (na coraz to innych typach radiostacji nadawczo-odbiorczych), każdy żołnierz szwadronu szkolony był w prowadzeniu wozu. Po ukończeniu takiego kursu, co jakiś czas odbywaliśmy jazdy szkolne w dzień i w nocy, ponadto uczono nas ładowania akumulatorów. Szwadron miał własny L.A.D. (pluton naprawy lekkiej samochodów) z odpowiednim sprzętem.

W końcu dostaliśmy duże sześciotonowe wozy A.C.V. (Army Communication Vehicle), opancerzone i wyposażone w silniejsze radiostacje. W pierwszej jeździe próbnej taki wóz, naładowany oficerami polskimi i angielskimi, wywrócił się i kilka razy przeokoziółkował po łagodnym stoku łąki, mimo że prowadził go pancerniak, długoletni taksówkarz warszawski. Szczęśliwie nie było ofiar, tylko ranni. Kiedyś i ja miałem jazdę szkoleniową jako dowódca radiostacji. Po zestrojeniu w sieci (przeszło 10 stacji) wyjechaliśmy w teren, ażeby w różnych kierunkach łączyć się na fonii oraz alfabetem Morse'a. Chodziło o uzyskanie jak najlepszego połączenia mimo oddalenia od bazy. Moim kierowcą był barczysty wilnianin już po trzymiesięcznym kursie prowadzenia wozu. Jechaliśmy parę kilometrów asfaltową szosą, serpentyną wijącą się w dół między lasem i wzgórzami. Ja pracowałem na radiostacji ze słuchawkami na uszach. Nagle poczuliśmy wstrząs i tak silne uderzenie, że odlecieliśmy kilka metrów do tyłu, potem nastąpiło drugie, jeszcze silniejsze uderzenie, i cisza. Kiedy wyskoczyłem z wozu okazało się, że zderzyliśmy się z polskim czołgiem prowadzonym przez ucznia-czołgistę, który nie panował nad pojazdem. Konstrukcja naszego wozu została naruszona, kierowca i mój pomocnik – poturbowani. Przyjechał dźwig i na dwóch tylnych kołach przetransportował wóz do bazy w Melrose. Przeszkolenie kilkunastu tysięcy żołnierzy dywizji kosztowało wiele trudu, a nieraz i ofiar. Oficerowie wyżsi, wraz z naszym Generałem Stanisławem Maczkiem, jeździli do specjalnych baz szkolenia pancерnego. W ro-

<sup>45</sup> Fakty i nazwiska weryfikowano z opracowaniem: A. Rogoziński, *Wojska łączności i Polska 1 Dywizja Pancerna*, Milwaukee 1985.

bocznych kombinezonach musieli kręcić kluczami pod czołgami i wymieniać różne części. Nakazano też spotęgowanie ćwiczeń fizycznych. Dowódca 1. Szwadronu Łączności (kapitan Hieronim Kurek) osobiście kontrolował uchylających się od porannej gimnastyki, którą prowadzili najlepsi sportowcy, nieraz nawet tylko w stopniu starszych szeregowców. Obok ćwiczeń rozruchowych, codziennie biegaliśmy minimum dwa kilometry. Bardzo młodzi żołnierze (u nas było ich około 20) w godzinach popołudniowych mieli naukę uzupełniającą, gdyż wielu z nich wskutek wojny przerwało edukację szkolną.

Melrose położone było w pięknej okolicy górskiej wśród szumiących wód rzeki Tweed, liczyło pięć tysięcy mieszkańców. W czasach pokoju była to miejscowość wypoczynkowa. Mieliśmy tu znacznie lepsze warunki, a poza tym ruch organizacyjny, szkoleniowy oraz stały dopływ nowoczesnego sprzętu podnosiły nas na duchu dzięki czemu ardziej optymistycznie spoglądaliśmy w przyszłość. Batalion Łączności zgrupowany był w Hydro Hotelu, gdzie znajdowała się baza szkoleniowa. Jednostki przeszkolone odchodziły potem do brygad, a stale funkcjonował w hotelu Szwadron Dowodzenia Łączności oraz 1. Szwadron Łączności. Hydro Hotel był pięknym budynkiem ze wspaniałym frontonem i obszernym placem. Miał dużą salę teatralną oraz sporą jadalnię. Działalnością kulturalną kierował podporucznik Tadeusz Daszkiewicz, który wziął mnie do pomocy w organizowaniu różnych imprez. Przygotowywałem zabawy dochodowe, a z zebranych pieniędzy kupowaliśmy instrumenty muzyczne, a także przybory szkolne. Przygotowaliśmy scenę na występy artystycznych zespołów wojskowych (polskich i angielskich). Występowali w nich nieraz wybitni, przedwojenni artyści<sup>46</sup>. Na każdą taką imprezę malowałem co najmniej sześć afiszów reklamowych. Oprócz organizowania zabaw i występów robiłem także różne dekoracje z okazji wszelkich uroczystości, na przykład raz dekorowałem całą jadalnię na „święcone jajko wielkanocne”. Przemawiał wówczas ksiądz kapelan oraz dowódca Łączności Dywizji pułkownik Jan Grajkowski. Stworzyliśmy także zespół taneczny dzięki Miss Mary Davidson (choreografce), która mieszkała niedaleko w pięknym domu „Collingwood” z dużą ćwiczeniową salą z fortepianem. Pani Davidson przed wojną była dwukrotnie w Polsce i miała oryginalne polskie stroje regionalne (góralskie i krakowskie). Podporucznik Daszkiewicz szybko nawiązał z nią kontakt i powstał mieszany zespół szkocko-polski: kilkunastu polskich żołnierzy z partnerkami Szkotkami. W pozasłużbowych godzinach zaczęliśmy próby i w krótkim czasie nasz zespół występował na scenie Hydro Hotelu, a potem też w Kelso i Galashiels podczas angielskich uroczystości oraz różnych imprez i zbiórek na cele wojenne. Tańczyliśmy nasze krakowiaki, kujawiaki i oberki, ale uczyliśmy się też tańców szkockich, szwedzkich i czeskich. Pani Davidson urzędowała dla naszego zespołu „herbatki” i podwieczorki, a kilku z nas odwiedzało ją częściej, miło spędzając czas na rozmowach przy kominku. Czasem urządzaliśmy nawet seanse spirytystyczne. Korepondowałem z nią po wojnie aż do jej śmierci 9 października 1980 roku.

---

<sup>46</sup> W Melrose występowała np. *Wesoła Lwowska Fala*, zob.: J. Smoliński, *Lwowska Fala na wojennym szlaku (1939–1946)*, Warszawa 2021.

Kończył się nasz pobyt w Melrose i pojechaliśmy na wielkie manewry do Anglii w okolice Cambridge. Dowództwo stanęło za miastem New Market, słynącym z wyścigów konnych. Koni już nie było, a my mieliśmy kwatery w stajniach. Tam zastała nas informacja o tragicznej śmierci generała Sikorskiego w Gibraltarze. Przygotowywaliśmy się do manewrów międzydywizyjnych, robiono ostatnie zmiany organizacyjne i uzbrojeniowe. Odwiedzali nas liczni generałowie polscy, m.in.: Kazimierz Sosnkowski (Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych po śmierci Sikorskiego), Mieczysław Boruta-Spiechowicz i Józef Zajac. Manewry były ostre, a warunki, w których ćwiczyliśmy, bardzo trudne. Spaliśmy pod wozami, często bardzo krótko, nieraz brakowało nawet wody pitnej. Odbywały się próbne loty i zrzuty zaopatrzenia. Zdarzały się wypadki, widziałem płonący samolot, który spadł na ziemię. Zginęło w nim kilkunastu oficerów obserwatorów.

Po manewrach wróciliśmy do Szkocji. Wszystko odbywało się teraz w pośpiechu. W grudniu 1943 roku zostałem odkomenderowany na kurs taktyki łączności broni pancерnej do Bovington Camp w Dorset, zaledwie parę kilometrów od wybrzeża. Był to największy angielski poligon i obóz, gdzie szkolono w różnych specjalnościach żołnierzy angielskich, amerykańskich, francuskich i polskich. Rygor był ostry, spanie w chłodnych barakach, pobudka o godzinie piątej. Z naszej dywizji pojechało na kurs czterdziestu oficerów i podoficerów. Zajęcia zorganizowane były wzorowo, wykładali dobrzy fachowcy, urządzano też ćwiczenia w terenie z mapami, szyframi i kodami, a stacje kontrolne śledziły każde nasze poruszenie. Spędziliśmy tam Boże Narodzenie i Nowy Rok. Ponieważ nie zdążyłem się wyśpowiadać przed polskim księdzem, pierwszy raz spowiadałem się w języku angielskim przed miejscowym kapłanem. Po Nowym Roku organizowano zabawy i dancingi, nie brakowało też kobiet w mundurach. Na jednej z zabaw wygrałem konkurs tańca w rywalizacji kilkuset par i otrzymałem gratulacje od dowódcy mojego szwadronu. Po czterech tygodniach intensywnej nauki wróciliśmy pociągiem do Melrose. Dostałem urlop i odwiedziłem mojego kuzyna Antka (odnalezionego korespondencyjnie), który odbywał jakiś kurs koło Nottingham, potem widziałem się z nim jeszcze w Edynburgu, ale wkrótce urlopy się skończyły. Zostałem przeniesiony znowu do plutonu sztabowego, a porucznik Stanisław Grybski powierzył mi funkcję instruktora, tłumacza i gospodarza całego sprzętu plutonu. Według angielskiej instrukcji obsługi polowej telefonii nośnej przeszkoliłem kilku nowych żołnierzy, a później podchorążego z 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej zapoznałem z najnowszymi wytycznymi ośrodka łączności dotyczącymi przebiegu i kontroli telefonogramów. Na dwa tygodnie odkomenderowano mnie (jako tłumacza) na kurs dla plutonu telefonicznego prowadzony przez inspektora pocztowego z Edynburga. Sam musiałem się zapoznać z nową instalacją Fullerfon<sup>47</sup>, którą zakładaliśmy w szeregu linii telefonicznych na szczeblu Dywizji.

W marcu 1944 roku przyszedł rozkaz naczelnego dowództwa sił alianckich zarządzający generalną mobilizacją wszystkich jednostek. I choć myśleliśmy, że już wszystko dawno mamy, okazało się, że jeszcze dostaniemy sporo sprzętu. Zwłasz-

<sup>47</sup> Właściwie Fullerphone, telefon polowy używany podczas II wojny światowej w armii brytyjskiej.

cza ważne były części zapasowe do samochodów, dla warsztatów naprawczych oraz radiostacji i telefonistów oraz zapasy żywnościowe. Stan mobilizacji przewidywał m.in. skasowanie urlopów, cenzurowanie korespondencji oraz oddanie prawie całej komunikacji kolejowej na potrzeby wojska. Dostaliśmy dwa wozy techniczne, w których telemechanicy urządzali na stałe centrale i aparaty. Kable wyjściowe ze skrzynekami końcowymi ulokowano na dachach wozów. Ładowano siatki maskownicze, namioty, kilofy i łopaty, zapasy druków-fonogramów, karabiny maszynowe, granaty, skrzynki na amunicję, zapasowe akumulatory, płachty tożsamości: rozpoznawcze i kierunkowe (dla sygnalizacji z lotnictwem) i wiele innych rzeczy. Część pakowano do wozów technicznych (centralowych), a część do samochodów drugiego rzutu. Wtedy odwiedzili nas: najpierw marszałek Montgomery, a wkrótce po nim naczelny dowódca sił alianckich generał Dwight Eisenhower. Obie wizyty były niespodziewane. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że przydzielono nas do 21. Grupy Armii marszałka Montgomery'ego i do 1. Armii Kanadyjskiej. Zaczęliśmy odjeżdżać na południe do rejonów załadowawczych, którymi były tereny całego cypla południowo-zachodniego włącznie z portem londyńskim. Akcja ustalona była w ten sposób, że poszczególne dywizje stopniowo zbliżały się do wszystkich portów leżących na południowy zachód od Londynu. Wschodnie rejony odgrywały rolę poligonów i symulowanej koncentracji armii (z numeracją i nazwiskiem dowódcy), co było fikcją mającą wprowadzić w błąd nieprzyjaciela. My stanęliśmy pod Southampton w luksusowych domach wczasowych. Tam już niczego nie ćwiczyliśmy, pozwolono nam odpoczywać i bawić się przed wyruszeniem na front. W licznych lokalach dancingowych przebywaliśmy do późnego wieczora, a dla niejednego była to ostatnia zabawa w życiu. Przyjechała mnie pożegnać nawet pielęgniarka May, z którą sympatyzowałem w czasie pobytu w Melrose. Wspólna kolacja w restauracji przy skalistym wybrzeżu w promieniach zachodzącego słońca stanowiła piękną i romantyczną oprawę pożegnania Wysp Brytyjskich, które nas przygarnęły na kilka lat.

Leżałem jeszcze w ciepłym łóżku w pokoju, który zajmowałem z Edwardem Betinkiem z Lublina, był śliczny poranek 6 czerwca 1944 roku. Edward włączył radio i usłyszeliśmy komunikat o inwazji na kontynent. Pierwsze oddziały 21. Grupy Armii, do której i my należeliśmy, wylądowały. Etapami zaczęliśmy przemieszczać się do punktów załadowczych. Wreszcie dotarliśmy do Aldershot – miasta-koszarów (na zachód od Londynu). Tam rozpoczęło się ładowanie amunicji do czołgów, odbywały się ostatnie odprawy, wyznaczano oficerów i podoficerów transportowych. Mnie także przydzielono funkcję podoficera transportowego. 27 lipca opuściliśmy Aldershot i pojechaliśmy do „Transit Camp”, obozu przejściowego w porcie londyńskim. Ludzi oddzielono od samochodów (za wyjątkiem kierowców), wozy pochowano do załadunku blisko ramp, a nas skierowano do namiotów. W dużym namiocie było nawet kino, ale w całym obozie wykopane były zygzakowate rowy, w których chowano się, gdy nadlatywały rakiety V1 czyli „ślepagraty” (jak je nazywaliśmy). Mimo dużej ilości zestrzelonych przez nasze lotnictwo pocisków, wiele docierało do Londynu i okolic. W „Transit Camp” spaliśmy tylko przez jedną noc, a na drugi dzień po południu weszliśmy na okręt, gdzie na dnie były już

załadowane samochody. Okręt odpływał powoli i jeszcze przez dwie noce przyszło nam stać u ujścia Tamizy. Zrobiono alarmy próbne, każdy dowiedział się, z jakiej łodzi ratunkowej ma korzystać, na noc położyliśmy się pod pokładem, musieliśmy chodzić z nadmuchanym pasem ratunkowym. 31 lipca ruszyliśmy całym konwojem, około stu okrętów z wojskiem i sprzętem. Wokół płynęły kontrtorpedowce, okręty wojenne, niszczyciele i krążowniki. Po drodze mijaliśmy wraki zatopionych okrętów oraz betonowe platformy przeciwlotnicze zamocowane w morzu jak małe fortece. Ciemno już było, gdy przepływaliśmy przez Cieśninę Kaletańską, byliśmy już w zasięgu ciężkiej artylerii niemieckiej. Miałem służbę przeciwpożarową na pokładzie, przepływaliśmy w zupełnej ciszy, nie można było zapalić papierosa ani głośno rozmawiać. Po około dwóch godzinach wpłynęliśmy na szersze wody, rano stanęliśmy całym konwojem, w powietrzu było pełno balonów zaporowych. Zaczęły podpływać duże łodzie transportowe i rozpoczął się przeładunek sprzętu, a my schodziliśmy po drabinach linowych. Wylądowaliśmy na piaszczystym brzegu, gdzie zbieraliśmy się w wyznaczonych punktach, a nasze wozy techniczne stały już w cieniu drzew. Przy szosie leżały kable telefoniczne, włączyliśmy się do sieci telefonicznej 2. Korpusu Kanadyjskiego, uruchomiliśmy centralę i rozpoczęliśmy pracę jak na ćwiczeniach. Ja uruchomiłem Fullerfon i zacząłem korespondować po angielsku z 2. Korpusem Kanadyjskim. Już w tym samym dniu z meldunków sytuacyjnych wiedzieliśmy, które jednostki są na południowo-wschodniej linii. My w sit-repie<sup>48</sup> wzmiankowani byliśmy jako odwód. Dywizja zaczęła lądowanie 29 lipca i zakończyła 4 sierpnia. Po lądowaniu była koncentracja, uzupełnianie amunicji, a saperzy przyzwyczajali się do rozbrajania min niemieckich.

Pierwsze kroki na ziemi francuskiej (2 sierpnia 1944 roku), a zarazem na kontynencie europejskim, dodały nam otuchy. Dotychczas tylko szkoliliśmy się i słuchaliśmy komunikatów, teraz nareszcie dołączaliśmy do walki. Przypomina mi się niezwykła „odprawa dla wszystkich”, na której generał Maczek kazał wymalować wielką, kolorową mapę sytuacyjną i polecił, by zobaczyli ją wszyscy żołnierze obsługi sztabu. Siedzieliśmy na trawie, a generał stał z kijem w ręku i pokazywał którądy uderzymy, kto pomoże z lewej, a kto z prawej strony. Czuliśmy, że nie ma lepszej, bardziej zespolonej i tak dobrze rozumiejącej swoje zadania dywizji, jak 1. Dywizja Pancerna skupiająca Polaków ze wszystkich rejonów kraju, a nawet z zagranicy. Wszelkie zaściankowe antagonizmy zniknęły, liczyła się tylko współpraca, wzajemne zrozumienie, pomoc i wspólny cel. Nawet stosunek żołnierzy do oficerów był bardziej rodzinny, aniżeli formalno-służbowy. Koncentrowaliśmy się w okolicy miasteczka Bayeux. Z daleka widzieliśmy tylko napisy na niektórych domach lub ruinach, ale siedzieliśmy w ogrodach, między drzewami. Na otwartej przestrzeni ogrodu były stogi siana, postanowiliśmy tam z kolegą Władkiem Kunikowskim (pochodzącym z Łodzi) przespać pierwszą noc we Francji. Śmialiśmy się z innych, którzy lokowali się pod wozami. Nie zdążyliśmy zasnąć, jak rozpętało się piekło. Samoloty niemieckie wdarły się w rejon powietrzny naszych ugrupowań i rozpoczęła się potężna kanonada artylerii przeciwlotniczej. Uciekliśmy szybko z naszego sianka pod jakiś wóz.

<sup>48</sup> Sit-rep (*situation report*) – raport sytuacyjny.

7 sierpnia zarządzono pogotowie marszowe. Klucząc w ciemnościach różnymi drogami, ruszyliśmy w kierunku miasta Caen, które było przez trzy dni bombardowane przez nasze lotnictwo. Przejeżdżając, widzieliśmy głębokie leje po bombach, a miasto było mocno zrujnowane. Pogoda była słoneczna, zjeżdżaliśmy w dół szosy, gdzie po obu stronach ustawiona była artyleria, od której dobiegał straszny huk. Jechałem w przedniej części naszego wozu na swoim miejscu oddzielnym od reszty. Nagle zauważyłem, że wszyscy wyskakują z wolno posuwającego się pojazdu. Zrobiłem to samo i dopadłem jednego z większych lei, gdzie schowało się już kilkunastu żołnierzy. Okazało się, że amerykańskie lotnictwo pomyłkowo zbombardowało własne jednostki. Trafili także w amunicję artyleryjską, która teraz wybuchła. Jeden duży kawał wylądował dosłownie pół metra od mojej głowy. Po jakimś czasie uspokoiło się i pojechaliśmy dalej, ale straty były niemałe. Zginął jeden oficer i siedemnastu żołnierzy z artylerii, było też wielu rannych. Jednak trzeba było dalej normalnie pracować. Zakładaliśmy skrzynki dołączeniowe w lewo i w prawo, do nich podłączały się patrole telefoniczne różnych jednostek, w tym dowództwa dywizji kanadyjskich. Zagęszczenie wojska było ogromne, napływały pierwsze meldunki z linii frontu oraz pierwsi zabici i ranni. Naokoło pojawiały się błyski dział i „koncert artyleryjski”, który towarzyszył nam już do końca działań. Miejsce postoju zmieniliśmy 9 sierpnia, przesuwając się do przodu o kilka kilometrów, następnego dnia znowu o kilka. 11 sierpnia miałem służbę nocną przy Fullerfonie, aż do rana odbierałem i nadawałem sit-repy. Część kolegów spała pod wozami, część pracowała w wozie oświetlonym światłem z akumulatorów. Meldunki dochodziły do tysiąca słów, niektóre trochę mniejsze, niektóre zaszyfrowane. Siedziałem w swojej kabinie, obok kapral z angielskiej misji łącznikowej, a przy wejściu Edward Betinek rejestrujący meldunki i odsyłający je gońcami pieszymi i motocyklowymi do poszczególnych działów sztabu. Wszyscy mieliśmy osiatkowanie maskownicze i staliśmy w zmierzwionym polu żyta. W małych przerwach gotowałem sobie na świecowym grzejniku herbatę, która mnie orzeźwiała. Wejście i okna wozu zasłonięte były kocem, ale cały trząsł się od wybuchów. 13 sierpnia znowu nastąpiła zmiana, przesunęliśmy się jakieś trzy kilometry do przodu, zmieniając kierunek natarcia z południowego na południowo-wschodni. Dwa dni później przesunęliśmy się szybko w miejsce, gdzie jeszcze przed pół godziną czołgi nasze zgnioty silną pozycję przeciwpancerną wśród drzew i krzaków otaczających łąkę, pełną pachnących kwiatów polnych. Kiedy tam przyjechaliśmy, jeńcy niemieccy zbierali swoje trupy, a my musieliśmy parę metrów od nich instalować ośrodek łączności. Z Władkiem Kunikowskim zrobiliśmy sobie parę kroków od wozu mały schron, który nakryliśmy blachą od zestrzelonego samolotu. W międzyczasie dojeżdżali inni, zrobił się ruch, na drugi dzień przybyło czterech kapelanów wojskowych (w tym jeden rabin). Ich zadaniem było m.in. spisywanie zabitych i rannych. 16 sierpnia znowu nastąpiła zmiana miejsca postoju o kilkanaście kilometrów, przekroczyliśmy rzekę Dives, a między krzakami i drzewami założyliśmy ośrodek łączności. Przed południem pojawiły się samoloty niemieckie i coś zrzuciły. Nie były to jednak bomby, lecz zasobniki z zapasami dla swoich wojsk. Nie wiedzieli, że już ich tu nie było. Pod wieczór, jakieś 150 metrów od nas

stał wóz dowodzenia nr 3, a obok niego siedział porucznik Wasilewski. W środku pracował jeszcze major i młody telegrafista. Nagle z małych chmur wyleciał niemiecki samolot i zrzucił bomby przed wóz. Zginął telegrafista i porucznik Wasilewski, a major został ranny. Śpiący pod wozem ludzie wyszli bez szwanku, tylko nieco osmaleni. Następnego dnia przyjechała służba sanitarna z beczkowitzem (zainstalowano na trawie prysznic i mogliśmy się wreszcie wykąpać), a kolejnego dnia (18 sierpnia) dotarła nasza kuchnia polowa. Gdy jadłem na stojąco śniadanie, ktoś do mnie podszedł i kazał zgłosić się do dowódcy. Zameldowałem się u przełożonego, a ten poinformował mnie o specjalnym zadaniu. Miałem dostać wóz techniczny (z kierowcą Edkiem Adamskim), telemechanika, patrol naprawczy oraz ludzi do obsługi, a także instalację Fullerfon. Celem wyjazdu był wysunięty punkt dowodzenia (w odległości około kilkunastu kilometrów) dowódcy dywizji bitwy o Maczugę<sup>49</sup> i Chambois. Były tam już telefony artylerii oraz innych jednostek, a ja miałem zorganizować wysunięty ośrodek łączności.

Wyjechaliśmy z Władkiem Kunikowskim, moim zmiennikiem do pracy na Fullerfonie, całą załogą, a nawet gońcem zaopatrzonym w mały samochód pancerny. Wśród wawozów stały wozy dowodzenia 1. i 4. (czwarta misja łącznikowa angielska), cztery czołgi osłony, kilka aut pancernych i obsługi sztabu. Przy liniach złączonych na dwóch aparatach telefonicznych pracował patrol artylerii. Moi ludzie szybko poprzypinali wszystko do centrali i rozpoczęli budowę innej linii do głównego dowództwa dywizji. Wóz zamaskowano i wyznaczyłem ludzi do zabezpieczenia go, bo niedaleko znajdowały się odcięte jednostki wroga. Teren nokoło świadczył o niedawnych walkach, tu i ówdzie leżały zniszczone działa. Wóz generała Maczka był dobrze zamaskowany i stał niedaleko nas w wąwozie. Siedziało tam wielu dowódców, słychać było rozmowy prowadzone z jednostkami na wzgórzach Ormel. Kiedy założyłem ostatnie kable na drzewie, a telemechanik Karol Makowski pomagał mi regulować aparat, zjawił się pułkownik Jan Grajkowski i polecił mi stale meldować o stanie linii. Robiłem to dość często, bo stale naprawiano jakąś linię, a jakaś ulegała uszkodzeniu wskutek działań wojennych. Oprócz sprawowania dozoru nad linią, pracowałem na Fullerfonie. Napływały długie, tasiemcowe raporty sytuacyjne, bo wokół nas wiele się działo. Jednostki niemieckie przedzierały się na północny wschód, a część naszych wojsk także była odcięta od swojego dowództwa. Przez jedną miejscowość przechodziła kolumna polska, a za jakiś czas znowu pojawiali się Niemcy. Nareszcie 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna trochę się posunęła, zbliżała do Trun i do rejonu naszego działania. My byliśmy klinem wbitym we front niemiecki. W ośrodku łączności wiedzieliśmy o tym doskonale z przekazywanych meldunków. Ta świadomość i powaga sytuacji wymagała podwójnej dyscypliny. 20 sierpnia dostaliśmy telegraficzne ostrzeżenie, że Niemcy planują zrzuty spadochroniarzy dla odblokowania zamkniętych przez wojska alianckie dróg. Nakazano wzmożoną czujność. Kto nie miał dyżuru na centrali lub przy telefonie, musiał pełnić służbę patrolową. Na zmianę z Kunikowskim pracowaliśmy na Fullerfonie. Wiadomości były coraz bardziej emocjonujące. Meldowano, że dwie niemieckie dywizje pancerne chcą od wschodu przebijać się na Maczugę. Miałem wtedy łączyć rozmowę generała Maczka z dowódcą 2. Korpu-

<sup>49</sup> Właśc. bitwa o wzgórze Mont Ormel, stoczona w dniach 19–21 sierpnia 1944 roku.

su<sup>50</sup>, ale linie były zajęte. Generał Maczek słyszał polecenia zwolnienia linii dla rozmowy operacyjnej pierwszego stopnia, słyszał też głos dowódcy 2. Kanadyjskiego Korpusu generała Guya Simondsa zabraniającego przerwania połączenia. W takiej sytuacji nasz generał zarządził zwołanie wszystkich jednostek na „okólnik”. Mój telefonista wywołał po kolei kilkanaście jednostek, sprawdził obecność i zameldował generałowi, że wszyscy już są na linii. Generał Maczek rozkazał: „wykładać płachty tożsamości, a jak nie macie to białe gacie i ręczniki, z których zrobicie gwiazdy. Za 20 minut nasze lotnictwo będzie interweniować. Chcę, aby nie było strat”. I taka właśnie była atmosfera tamtych dni. Wieczorem „odwiedziło” nas lotnictwo niemieckie, ale tylko przelotem. Za to kapral przyprowadził mi jeńca – oficera brytyjskiego, który w czasie nalotu świecił latarką. Zapytałem go po angielsku, kim jest i co tu robi. Powiedział, że jest angielskim oficerem łącznikowym, zabłądził i dlatego świecił. Zaprowadziłem go pod wóz generała i zameldowałem szefowi sztabu, co zaszło. Był tam szef angielskiej misji, który poznał oficera. Wyjaśniło się nieporozumienie, ale pochwalono nas za czujność.

Emocje rosły. Słyszeliśmy uzgadnianie terminów zrzutów zaopatrzenia dla naszych jednostek odciętych w Chambois. Po południu podchorąży służący przy centrali zgłosił mi awarię. Doznałem szoku, bo nagle wszystkie linie przestały „grać”. Posłałem go, aby sprawdził obwody i dopływ prądu z akumulatorów, a on ciągle twierdził, że sprawdził i nie wie, co dalej robić. W końcu sam poszedłem do centrali i zauważyłem wypchnięty (przez jego niezdarne kolana) szeroki „grzebień” zawierający kilkadziesiąt kontaktów doprowadzających. Kiedy go docisnąłem, wszystkie linie głośno „zagrały”. Opieprzyłem go i pogroziłem rewolwerem. Był błądy, a ja mocno zdenerwowany. W największym kryzysie bitewnym, gdy wszystko było napięte do granic, a każda rozmowa telefoniczna była na wagę życia i śmierci, nie można popełniać tak rażących błędów. Szczęśliwie było to jedyne takie wydarzenie, poza tym wszyscy moi ludzie spełniali dobrze swoje zadania. Spośród załogi pamiętam wspomnianego już kilkakrotnie Władka Kunikowskiego, dalej Alojzego Janotę (z Chebzia), A. Rusakiewicza (dziennikarza), T. Wojciechowskiego (nauczyciela gimnazjalnego z Wilna), Tyszyńskiego oraz kilku innych, których nazwiska uleciały już z mojej pamięci. Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy z naszego położenia i tego, że jesteśmy w samym centrum dowodzenia jedną z ważniejszych, historycznych bitew II wojny światowej. Nie było czasu na refleksję, bo trzeba było sprawnie wykonywać swoje obowiązki, trochę się przespać, coś zjeść i nerwy trzymać na wodzy.

21 sierpnia 1944 roku, po dżdżystej nocy, w czasie której znowu kilka razy musieliśmy chować się przed nalotami, ranek był słoneczny. Pułkownik Grajkowski przyszedł do naszego wozu zapytać o samopoczucie, był ochrypnięty od ciągłego gadania przez radio. Czuło się atmosferę wyczekiwania, ale i rozprężenia. We wczesnych godzinach popołudniowych oficerowie powychodzili z wozu nr 1, pomogli generałowi odświeżyć się, a jego kucharz upiekł (a właściwie usmażył) gęś czy kurę zorganizowaną z pobliskich gospodarstw. Kryzys minął. Kanadyjczycy nareszcie dołączyli. Zadania dywizji zostały spełnione. Ze starego dowódcz-

<sup>50</sup> Chodzi o II Korpus Kanadyjski 1 Armii Kanadyjskiej; w składzie Korpusu walczyła 4 Kanadyjska Dywizja Piechoty.



two przyjechało mnóstwo wozów z różnymi oficerami, korespondentami wojennymi. Przyjechała nawet kuchnia polowa naszego szwadronu, której dawno nie oglądaliśmy. Jednemu polskiemu korespondentowi pożyczyłem swoją menażkę, aby się posilił. Odwiedził nas też dowódca plutonu porucznik Grybski. Z wysuniętego punktu dowodzenia dużo wozów pojechało zobaczyć „Psie Pole” pod Maczugą<sup>51</sup>. Widziałem, jak przywieziono stamtąd proporzec dowódcy korpusu SS<sup>52</sup> zdobyty przez polskie wojsko.

Na tym miejscu postoju byliśmy jeszcze przez jedną noc, a potem pojechaliśmy na kilkudniowy odpoczynek, gdzie kąpaliśmy się, porządkowaliśmy sprzęt i mundury, a dywizja uzupełniała straty. Przyjechał nawet angielski zespół rozrywkowy z ENSY<sup>53</sup>, żeby zatrzeć ślady przeżyć wojennych swoimi występami baletowymi. Byłem delegowany na tę imprezę i patrzyłem na twarze żołnierzy tego dzielnego pułku, który stracił najwięcej kolegów w ostatnich dniach. Teraz oglądali zgrabne nóżki tancerek i jakoś mi to do siebie nie pasowało. Tymczasem front oddalił się nad Sekwanę. Po kilku dniach ruszyliśmy znowu naprzód. Teraz był to już pościg, bo Niemcy wycofali się daleko, zostawiając jedynie enklawy w portach. W nocy schowaliśmy się w sporym lasku na brzegu Sekwany. Nasi saperzy zbudowali tu długi most o nazwie „Warszawa”. Przejechaliśmy go zwartymi oddziałami po północy, potem miniliśmy Rouen, dalej kolejne miejscowości. W dzień tłumy ludności francuskiej wiwatowały na naszą cześć. Dzieciom rzucaliśmy czekoladki z zapasów, dorośli prosili nas o papierosy, którymi ich częstowaliśmy. Stanęliśmy dopiero pod Abbeville, gdzie nasza piechota zdobywała miasto. W drodze do Lille miniliśmy kolumnę ponad 800 jeńców niemieckich. Na jej czele szedł oddział z polską flagą, byli to nasi rodacy przymusowo wcieleni do Wehrmachtu. W Lille po raz pierwszy zanocowaliśmy w jakimś gospodarstwie ogrodniczym, a potem jechaliśmy dalej w kierunku granicy belgijskiej. Przed samą granicą rozbiliśmy obóz w rzadkim lesie. Ustawiliśmy namioty i przygotowywaliśmy się do snu, gdy zjawił się dowódca plutonu i zarządził dyżur na wysuniętym ośrodku. Przejechaliśmy parę kilometrów i znaleźliśmy się przy dowództwie w jakiejś wiosce belgijskiej. Tam kazali nam wypocząć. Nocowałem w jakiejś chałupie chłopskiej. Gospodarze już wcześniej gościli Polaków, teraz poczęstowali mnie belgijskimi trunkami, które piłem po raz pierwszy.

6 września 1944 roku nasi żołnierze wyzwolili miasto Ypres, gdzie w czasie I wojny światowej pierwszy raz użyto gazów bojowych, zginęło wtedy wielu żołnierzy, a miasto zostało całkowicie zniszczone. Teraz nasza Dywizja Pancerna zdobyła miasto błyskawicznie, bez użycia artylerii. Miejscowe kobiety, z wdzięczności, każdego żołnierza publicznie całowały na ulicy. Jedną uroczą piękność, która mnie pocałowała, poprosiłem o powtórkę. Chętnie to zrobiła ku uciesze gapiów i kolegów. W godzinach popołudniowych zatrzymaliśmy się na głównej drodze miasta wśród domów. Po prawej stronie była wytworna restauracja. Jej właściciel stał

<sup>51</sup> Miejsce bitwy o wzgórze Mont Ormel.

<sup>52</sup> Chodzi zapewne o walczącą w bitwie o Mont Ormel 2. Dywizję Pancerną SS „Das Reich”.

<sup>53</sup> Entertainments National Service Association (ENSA), organizacja założona dla zapewnienia rozrywki żołnierzom brytyjskim na frontach II wojny światowej.

przed lokalem i nawiązał ze mną rozmowę po angielsku. Ofiarował mi komplet widokówek z Ypres upamiętniających historyczne budowle. Nie zatrzymywaliśmy się jednak na dłużej, bo teraz już nie było wojny pozycyjnej, tylko coraz szybsze sychanie Niemców. 8 września przejechaliśmy przez Roeselare na postój w Tielt. Wtedy przez jeden dzień miałem posterunek na stacji kolejowej i tam obsługiwaaliśmy telefony polowe. Podjechały do nas dwa polskie czołgi, w których znajdowali się też przebywający na stażu w naszej dywizji czescy oficerowie z 1. Czechosłowackiej Brygady Pancерnej.

Podczas gdy nasze oddziały zajmowały teren i oczyszczały kolejne miejscowości, my łącznościowcy opanowywaliśmy wszelkie środki komunikacji telegraficzno-telefonicznej w tej gęsto zaludnionej aglomeracji. Głównym organizatorem akcji był zastępca dowódcy łączności major Bronisław Front, który stopniowo brał mnie pod swoją bezpośrednią komendę. Zaczęło się od Gandawy, gdzie poszliśmy na główną pocztę do centrali telefonicznej. Przedstawił mi dyrektora technicznego poczty – starszego, sympatycznego pana, który miał mi podlegać, a major miał z terenu przekazywać rozkazy. Wszystkie telefony prywatne zostały wyłączone, pozostawiono tylko połączenia do straży pożarnej, policji i szpitali. Pluton telefoniczny porucznika W. Suwińskiego dołączył kilka linii polowych do różnych jednostek. Inne jednostki, stacjonujące w różnych częściach miasta, korzystały z telefonów w prywatnych domach (telefony te musiałem im uruchamiać). Miasto było jeszcze pod ostrzałem ciężkiej artylerii niemieckiej, ustawionej na platformach kolejowych. Dyżurowałem w nocy i nasłuchiwałem się wielu komend artyleryjskich w rodzaju: „seriami, pojedynczo, nękające” itp. Drugiego dnia odwiedziły nas telefonistki belgijskie, które teraz nie miały zajęcia, i miło z nimi porozmawialiśmy. Z okna poczty widziałem ogromny desant powietrzny lecący na Eindhoven i Arnheim<sup>54</sup>. Brali w nim udział też polscy spadochroniarze. Z majorem Frontem prowadziliśmy kilka akcji wysyłania telemechaników belgijskiej poczty w teren z eskortą i pomocą samochodów naszego szwadronu. Budynek poczty znajdował się w samym centrum Gandawy, a naokoło było pełno „kafetek”. To też żołąd, który cały czas pobieraliśmy w walucie alianckiej (honorowanej w krajach wyzwolanych), szybko zaczął topnieć. Ubywało też papierosów angielskich, bo Belgowie ich prawie nie mieli, za to częstowali nas cygarami. Zatelefonowałem więc do Edka Betinka (który nie palił) i ten przysłał mi przy okazji kilkaset papierosów.

Po paru dniach (9 września) musiałem opuścić pocztę w Gandawie i wróciłem do plutonu, który był już w Lokeren. Nasi żołnierze „oczyszczali” brzegi licznych kanałów oraz cały lewy brzeg rzeki Skaldy, my mieliśmy trochę wolnego przed następną misją. Mieszkaliśmy w jakimś klasztorze, gdzie można było się wykąpać i wyspać. Przedpołudniem spotkałem kolegę z Katowic Teodora Słowika i poszliśmy do miejscowej kawiarni. Po drodze dołączył do nas podporucznik Fleszar<sup>55</sup>, który był dowódcą plutonu łączności przy batalionie saperów. Trochę z nim

<sup>54</sup> Miejscowość Arnhem w Holandii, gdzie rozegrała się kluczowa dla ofensywy wojsk sojusznicych bitwa z udziałem polskiej 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

<sup>55</sup> Zapewne chodzi o Mieczysława Fleszara (1915–1973), naukowca specjalizującego się po wojnie w historii i metodologii nauk geograficznych.

współpracowałem w Melrose przy organizacji imprez kulturalnych i bardzo się lubiliśmy. W kawiarni na stojąco wypiliśmy kilka kieliszków wina, a przez otwarte drzwi słychać było huk artylerii.

Kiedy alianci dotarli już do morza (w Terneuzen), nasza dywizja została przegrupowana. Chwilowo zostaliśmy przeniesieni do 30. Korpusu Brytyjskiego<sup>56</sup>. Dywizja została przerzucona na prawy brzeg Skaldy i weszła do akcji w kierunku granicy Holandii. Bruksela była już w naszych rękach. U ujścia Skaldy ominęliśmy wyspę Walcheren, którą Kanadyjczycy mieli „oczyścić” z lądu i morza, po czym ruszyliśmy na Baarle-Nassau (na granicy Holandii i Belgii). Znowu zostałem wydzielony z wozem nr 2 i nieco zmienionym składem załogi. Byliśmy w stałej dyspozycji dowództwa, choć pozwolono nam dla wypoczynku ulokować się w eleganckim majątku blisko szosy, ale jak się okazało – nie na długo. Nowo przydzielony do nas kapral podchorąży Lowenstein (władający kilkoma językami) załatwił eleganckie pokoje dla załogi, a dla mnie i dla siebie supereleganckie. Nawet nie zdążyliśmy się dobrze rozlokować, gdy przyjechał goniec motocyklowy z rozkazem majora. Musieliśmy natychmiast jechać za nim do szosy, gdzie czekał na nas porucznik Kazimierz Kalinkiewicz i pokazał nam, gdzie mamy się kierować. Na zakręcie z samochodu wychylił się major, który kazał jechać za swoim wozem. Skończyły się zabudowania i dostaliśmy się na szosę wysadzaną drzewami liściastymi. Pociski artylerii niemieckiej padały raz z jednej, raz z drugiej strony. Skręciliśmy w lewo w małą uliczkę przed jakąś niewielką miejscowością. Stał tam mały, parterowy budynek poczty. Centrala była uszkodzona przez bombardowanie artyleryjskie, ale kable podziemne były w porządku. Ustawiliśmy wóz obok budynku i naszymi kablami połączyliśmy pocztę z centralą w wozie. Dwóch mechaników belgijskich pomogło nam uruchomić centralę. Jedna linia połowa prowadziła do dowództwa dywizji u wejścia do lasu w kierunku Turnhout, a dwie drużyny telefoniczne (kaprala J. Dziury i plutonowego J. Wiechny) pracowały w terenie i ciągnęły długą budowę do 2. Dywizji Kanadyjskiej. Wachmistrz F. Rozwadowski, który dołączył linię od dywizji do poczty, czekał w pogotowiu, aż Dziura i Wiechno skończą, a wówczas on ze swoją drużyną mieli ciągnąć do kolejnych jednostek. Major Front co chwilę pytał o postęp prac. Obie drużyny meldowały stale o kolejności wybudowanych odcinków, ale trwało to bardzo długo. Zacząłem się zastanawiać nad innym rozwiązaniem i spytałem mechaników belgijskich, czy kabel na Antwerpię jest cały (Antwerpia już była w naszych rękach). Odpowiedzieli, że tak i wtedy poprosiłem o połączenie z Antwerpią, będąc pewnym, że wszystkie poczty muszą być obsadzone przez wojsko. Istotnie zgłosiła się centrala w Antwerpii po angielsku. Poprosiłem o rozmowę z dowódcą centrali i przedstawiłem się mu jako nadzór Signal Office Polish Armoured Division<sup>57</sup>, bo tak zawsze kazano mi się przedstawiać. Poprosiłem wprost o możliwość stałego połączenia z 2. i 3. dywizją. Oficer kazał chwilę poczekać, po czym potwierdził jedną linię, ale druga była przerwana. Poprosiłem go znowu o próbę okrężną (przez centralę rejonową). I udało się! Do-

<sup>56</sup> 30 Korpus Brytyjski jako jeden z dwóch korpusów wchodził w skład brytyjskiej 8. Armii; dowodził nim gen. por. Charles Norri.

<sup>57</sup> Biuro Sygnału Polskiej Dywizji Pancерnej.

stałem dwie linie, zablokowane w Antwerpii tylko dla nas. Szybko zadzwoniłem do majora Fronta z tą informacją. Nie chciał wierzyć, więc połączyłem go z dywizjami. Za 15 minut był samochodem u nas, a wcześniej przekazał Rozwadowskiemu, że nie będzie w nocy budował linii i ma wracać do dywizji. Także Wiechno i Dziura mogli przerwać budowę. Wszyscy byli zaskoczeni, ale bardzo zadowoleni, a major gratulował mi pomysłu i inicjatywy.

Na drugi dzień (30 września) z rana dołączyliśmy do kolumny sztabu rozciągniętej już na szosie i ruszyliśmy w kierunku Turnhout, Alphen i Baarle-Nassau. Około południa znowu stanęliśmy w lesie. Dowództwo ulokowało się po lewej stronie szosy, natomiast my wzdłuż prostopadłej szerokiej drogi leśnej wraz z różnymi jednostkami sztabowymi. Po głównej szosie przejeżdżały bataliony piechoty oraz pułk dragonów (piechota szturmowa na carriersach gąsienicowych<sup>58</sup>). Z prawej strony od naszego postoju las się przerzedzał, widzieliśmy polany i wąwozy, którymi posuwały się liczne pułki artyleryjskie. Najbliżej nas widzieliśmy jednostkę szkocką w oryginalnych furazerkach. Zajęci byliśmy porządkowaniem naszych wozów, gdy nagle nad naszymi głowami rozległa się huraganowa salwa i wszyscy rzucili się do rowów.

Granicę holenderską przekroczyliśmy 5 października za Turnhout i byliśmy już w prowincji Baarle-Nassau. Szybko jednak całe dowództwo dywizji musiało się cofnąć znowu do Turnhout, gdyż za bardzo wysunęło się do przodu i Niemcy je zlokalizowali. Wysłali snajperskie działo samobieżne, które oddało kilka strzałów. Przeważnie staliśmy w lesie, ale co chwila musieliśmy zmieniać miejsce postoju. Zrobiło się zimno. Miałem wtedy sporo nocnych służb. Stale słyhać było artylerię. Na polanie, koło holenderskiej wsi, natrafiliśmy na ogromne pobojuwisko: kilkadziesiąt zabitych krów, rozbite stanowiska niemieckie. Utkwił mi w pamięci obraz zabitego żołnierza niemieckiego z przyciśniętym do piersi karabinem maszynowym. Wyglądał niczym odlany ze spiżu. 7 września rano ruszyliśmy do przodu wzdłuż płonącej wsi. I znowu ujrzelśmy groźny i wielobarwny widok: zorzę poranną, palące się domy i wielkie rumowisko. Po raz drugi dotarliśmy do miejscowości Baarle-Nassau. 8 października rozlokowaliśmy się w zabudowaniach dużej farmy. Spaliśmy w stodołach i piliśmy dużo mleka. I tu zostaliśmy aż do 17 października. Z odbieranych przeze mnie meldunków, a także od przesłuchiwanym jeńców wiedzieliśmy, że Niemcy na noc zostawiali tylko dyżurne działa, a sami szli spać do domów. Zwykły ostrzał zaczynali z rana. Teren był bardzo miękki i nasze czołgi miały problem z rozwinięciem akcji. Także Kanadyjczycy z lewej strony od nas mieli ciężki teren, dużo przybrzeżnych kanałów, półwyspów i wysp. Front się zatrzymał, a Niemcy przygotowywali się do kontrataku, ale wypad naszej piechoty udaremnił te zamiary. W dzień nasze myśliwce pokazały nam widowisko – atak z powietrza na baterie niemieckie.

18 października ruszyliśmy do Weelde. Po licznych służbach i dyżurach miałem chwilę oddechu. Kwaterowałem na eleganckim strychu przyjemnej farmy flamandzkiej. Miałem radio nadające muzykę, a naprzeciwko była restauracja.

<sup>58</sup> 10 Pułk Dragonów, oddział piechoty zmotoryzowanej Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, używał transporterów gąsienicowych Carrier.

Dyżurowałem co drugi dzień. Stale kluczyliśmy na pograniczu belgijsko-holenderskim. Wreszcie 31 października wjechaliśmy do Bredy, o którą toczył się trzydniowy bój. Zajęliśmy kwaterę w seminarium duchownym, dużym i obszernym budynku, w którym wcześniej stacjonowała niemiecka jednostka Luftwaffe. Pozostał po niej bałagan, który musieliśmy posprzątać. W dużej sali na parterze budynku urządziliśmy ośrodek łączności, a nasze kwatery na górnych piętrach. Po drugiej stronie ulicy stało dowództwo dywizji. Znalazłem fryzjera i wykąpałem się w łaźni miejskiej. Potem poszedłem do kościoła. Artyleria „grała” do mszy. W tej części południowej Holandii, przeważnie katolickiej, ludność odnosiła się do nas bardzo przyjaźnie. Poznałem rodzinę von Hoeck (miejscowego piekarza). Zapraszali mnie do swojego domu. Razem z Edkiem Adamskim spędziliśmy tam kilka miłych wieczorów. Państwo Hoeck mieli aż jedenaścioro dzieci. Szczególnie spodobałem się córce Marii, która przy każdej wizycie nie odstępowała mnie na krok. Trochę można było zapomnieć o wojnie, choć cały czas słychać było artylerię. Niemcy wystrzelili spoza Mozy swoje rakiety V1 i V2. Celem ich była Antwerpia. Po drodze artyleria przeciwlotnicza wszystkich alianckich dywizji tworzyła pasy ochronne i zestrzeliła bardzo dużo nieprzyjacielskich rakiet.

Nad Mozą przyszło nam stacjonować przez całą zimę, bo tam zatrzymał się cały front. Naszym zadaniem było utrzymanie dość długiego odcinka Mozy aż po ujście do morza. Jednostka stanęła nad rzeką w bunkrach oraz schronach i stale patrolowała okolicę, bo po drugiej stronie szerokiej rzeki byli jeszcze Niemcy. Prowadziliśmy bardziej stabilny tryb życia. Służba w ośrodku, a potem wolne: łaźnia, koncerty, a nawet zabawy oraz wizyty u rodziny znajomego piekarza. Maria już całkowicie się do mnie „przyklepiła” i miałem dość poważny osobisty problem, bo groziło mi małżeństwo. W Holandii panował taki zwyczaj, że wystarczyło cztery razy spotkać się z dziewczyną, ażeby być zobowiązanym do dalszych kroków. Brat ojca Marii był proboszczem w Bredzie i zaraz porozumiał się z naszymi kapelanami. Z tego powodu zostałem wezwany do księdza pułkownika Antoniego Warakomskiego<sup>59</sup> na osobiste przesłuchanie. Wyjaśniłem sytuację i musiałem zerwać kontakty z rodziną piekarza.

Czas zatrzymania frontu wykorzystywano na przygotowania do dalszej ofensywy. Saperzy ćwiczyli forsowanie linii umocnionych, a łączność alfabet Morse’a. Czołgom mocowano działa większego kalibru. Dywizja dostała ciężkie samochody pancerne. Ja nadal odbierałem i nadawałem raporty sytuacyjne. Odbierałem też i wysyłałem masę listów z Anglii i do Anglii. Tłumaczyłem kolegom listy od Angielek i Szkotek. 14 grudnia dostałem dwa dni urlopu „rozrywkowego” do Brukseli i zakwaterowanie w luksusowym Hotelu Royal koło Dworca Północnego. Skorzystałem z porządnej kąpieli w hotelu, załatwiłem w wojskowych kantorach wymianę waluty i odwiedziłem kilka większych i mniejszych lokali z występami. O północy wróciłem. Na drugi dzień (który miał być pierwszym urlopowym) zostaliśmy zaalarmowani. Kazano nam szybko zjeść obiad i wsiadać do wozów. Urlop został odwołany, bo Niemcy rozpoczęły ofensywę w Ardenach. Nocą wróciliśmy do Bredy. Przywitał nas porucznik Grybski, który kazał na kwaterę wziąć tyl-

<sup>59</sup> Ks. Antoni Warakomski (1904–1971), kapelan 10. Brygady Kawalerii Pancерnej.

ko koce, bo reszta naszych rzeczy była już w wozach. Cała kolumna sztabowa stała ustawiona do wczesnego rannego wyjazdu. Udaliśmy się do miejscowości Vucht na wschód od Bredy. Sztab dywizji rozlokował się w budynku szkolnym z ośrodkiem łączności na parterze. Od razu miałem dyżur. Całe nasze wojsko zostało przegrupowane, czołgi patrolowały drogi wzdłuż Mozy. W nocy odbyła się odprawa u dowódcy dywizji, a rano całe dowództwo przeniosło się z powrotem do Bredy, razem ze Szwadronem Łączności. Mnie z ekipą i drugim wozem pozostawiono na miejscu, jako ośrodek pośredni. Przejęliśmy dodatkowy odcinek i było dużo linii, szczególnie artyleryjskich. Została też drużyna telefoniczna, która bez ustanku naprawiała uszkodzone linie. Musieliśmy też patrolować i ubezpieczać najbliższą okolicę. Dostałem awans na plutonowego. W godzinach wieczornych przyjechał porucznik Grybski i przywiózł nam poczęstunek wigilijny. Każdy dostał dużą, słodką bułkę, parę kieliszków wódki i trochę wędlin. Na stojąco, przy małym stoliku, porucznik zapalił kilka świeczek, połamał się z nami opłatkiem i pojechał do Bredy. W nocy naliczyliśmy przeszło sto rakiet, które przelatywały nad nami.

I tak na służbie, dyżurach i patrolach spędzaliśmy czas z dala od naszych kolegów w Bredzie. Blisko naszego ośrodka znajdował się schludny budynek Zakładu Ojców Alojzjanów. Było tam około trzydziestu zakonników. Zaproponowali nam wspólne spędzenie Sylwestra i obiad w Nowym Roku. Ponieważ my nie mieliśmy czasu gotować, daliśmy im część naszego prowiantu, a oni przygotowali posiłek. Na podwórku szkolnym stał nasz wóz techniczny, w którym jeden dyżurny obsługiwał centralę, a drugi czuwał z bronią. Z wozu przerzuciliśmy kabel z aparatem telefonicznym na korytarz do Ojców Alojzjanów i każdy wziął swoją broń. W dużej sali usiedliśmy między zakonnikami i śpiewaliśmy kolędy: jedną po holendersku, jedną po polsku, a potem po angielsku. Były serdeczne rozmowy i herbata. Przed północą przeor zakonu poprosił wszystkich, żeby odmówili w swoim języku modlitwę Ojcze Nasz. On sam odmówił ją na głos po łacinie. Zegar wybił dwunastą i złożyliśmy sobie życzenia noworoczne. Dziesięć minut później zadzwonił zainstalowany przez nas telefon. Centralna nas wzywała – alarm! Wyskoczyliśmy z budynku z bronią, podzieliliśmy się na patrole i całą noc byliśmy w pogotowiu. Przyczyną alarmu była strzelanina w pobliżu oraz przelatujące nad nami rakiety V1. Tak zakończył się Sylwester 1944 roku. Na drugi dzień zjedliśmy jeszcze obiad u zakonników. Pamiątką tego spotkania były wypisane przez Alojzjanów (po polsku, angielsku i holendersku) winiety z nazwiskiem każdego uczestnika i rubryką, w której się podpisał.

Sytuacja w Ardenach została opanowana. Klin niemiecki osiągnął około sześćdziesięciu kilometrów. Kiedy pogoda się poprawiła, nasze lotnictwo wzięło odwet i Niemcy się wycofali. Stojący naprzeciwko nas (za Mozą) niemiecki Korpus Spadochronowy<sup>60</sup> nie wszedł do akcji. W pierwszy dzień 1945 roku mogliśmy oglądać nad nami walki alianckich myśliwców z niemieckimi samolotami. Polskie dywizjony zaliczyły wówczas przeszło dwadzieścia zestrzeleń. Po opanowaniu sytuacji wróciła 4. Dywizja Pancerna (kanadyjska). Oddałem im wszystkie linie te-

<sup>60</sup> Chodzi prawdopodobnie o oddziały należące do niemieckiej 3. Dywizji Strzelców Spadochronowych.

lefoniczne i z całą załogą pojechaliśmy do Bredy. Front znowu stanął. Zbliżała się wiosna i wszyscy szykowali się do ostatniej ofensywy na Niemcy. W marcu zostałem wezwany do dowódcy. Znowu dostałem wóz nr 2, obsługę oraz patrol do napraw, a także mapnik ze zaktualizowaną sytuacją. Dowódca powiedział, że misja jest tajna: mamy się zameldować w ośrodku łączności 4. Kanadyjskiej Dywizji Pancерnej, która pojutrze o czwartej rano weźmie udział w ofensywie w trójkącie granicznym Belgia-Holandia-Niemcy. Znowu przejeżdżaliśmy ośrodek w Vucht. Zameldowałem się u kanadyjskiego dowódcy ośrodka, który na razie dał mi jedną linię. Na drugi dzień pułk rozpoznawczy czołgów kanadyjskich przygotowywał się do akcji. Strojono kilkadziesiąt radiostacji czołgowych. Zauważyłem, że nie stosują strojenia przyciszonego (jak nas uczono) i w eterze odbijało się to potężnie. Tymczasem za Mozą stali Niemcy. Nie trzeba było długo czekać, bo wieczorem zaczęła strzelać w naszym kierunku artyleria niemiecka. Nad ranem Kanadyjczycy wyruszyli na front, a my zostaliśmy sami. Wkrótce znowu wróciliśmy do Bredy i szykowaliśmy się do dalszej walki.

### **Koniec wojny i powrót do Polski**

Rozpoczął się długi marsz bojowy przez Eindhoven do Niemiec. Minęliśmy ruiny miasta Goch i mostem pontonowym przekroczyliśmy Ren. Po kilku dniach walk sforsowaliśmy Kanał Küsten. Walki były ciężkie, krok za krokiem posuwaliśmy się w głąb Niemiec. 12 kwietnia 1945 roku 2. Pułk Pancерny oswobodził obóz jeniecki Oberlangen, gdzie więziono kobiety z Powstania Warszawskiego. Odwiedziliśmy obóz, zaopatrzyliśmy go w broń, bo nadal trwała wojna, dostarczaliśmy też żywność. Niektórzy żołnierze odnaleźli tam swoje krewne, wielu poznało swoje przysze żony. Ja też zaprzyjaźniłem się z pewną Zojką, ale poza krótką znajomością nic z tego nie wyszło. W tym czasie nie działo się nic specjalnie nowego. Na postojach pracowaliśmy w ośrodku łączności, raz w lepszych, raz w gorszych warunkach. Od 2 do 4 maja stacjonowaliśmy w jakiejś farmie na odludziu przed Wilhelmshaven. Była tam częściowo zburzona willa, w której musiał mieszkać jakiś ważny hitlerowiec, bo nawet żyrandol był w kształcie swastyki. W piwnicy tego domu znalazłem kilkanaście butelek dobrej wódki, którą zabezpieczyłem, aby poczęstować później kolegów. 5 maja o godzinie ósmej rano ustał wszelki ogień, ale przedtem obydwie strony przez całą noc starały się wystrzelać jak najwięcej. Była to dla mnie ostatnia „huraganowa” noc II wojny światowej.

Zaczęła się okupacja Niemiec. Zainstalowaliśmy ośrodek łączności w Wilhelmshaven i pracowało się jak zwykle, choć z miejscową ludnością byliśmy na dystans. W tym czasie zostałem wysłany z dwoma uzbrojonymi łącznościowcami do miejscowej siedziby Wehrmachtu i Kriegsmarine. Weszliśmy do dużego pomieszczenia, gdzie siedziało kilku oficerów niemieckich. Wszyscy wstali i po hitlerowsku zasalutowali. Rozmawiałem z ich kapitanem, który obsługiwał centralę telefoniczną. Wskazał mi schemat połączeń, udzielił informacji o działaniu linii, a potem oprowadził po korytarzach, pokazując poszczególne obwody czynne i unieruchomione. Rozmawialiśmy najpierw po angielsku, dopiero gdy zapy-

tał, czy znam niemiecki, przeszliśmy na ten język. Prosił mnie, abyśmy nie robili krzywdy miejscowej ludności. Odpowiedziałem, że nie będziemy naśladować Niemców i mścić się na cywilach. Następnego dnia w komendzie miasta zainstalowaliśmy Fullerfon. Po kilku dniach zmieniliśmy rejon okupacji: na nasze miejsce przyszedli Kanadyjczycy, a my po nich objęliśmy rejon Meppen-Papensburg-Lingen-Haselünne-Osnabrück-Bersenbrück aż do skraju Zagłębia Ruhry. Do pomocy dostaliśmy polską brygadę spadochronową. Nasze jednostki pancerne pilnowały obozu esesmanów w Essen. W naszym rejonie było bardzo dużo Polaków z przymusowych robót oraz z obozów jenieckich. Ta ogromna rzesza wymagała opieki i często nasze dowództwo stawało się miejscem, gdzie można było załatwić wiele spraw, choć oczywiście istniały specjalnie utworzone w tym celu brytyjskie placówki. Rozpoczęła się istna wędrówka ludów. Ludzie szukali się wzajemnie. Utworzono obozy dipisów (*displaced persons*), czyli przesiedleńcze. Do dywizji przyjęto byłych oficerów z niewoli, sporo kadry przeniesiono do Anglii. Odszedł też generał Stanisław Maczek, a na jego miejsce powołano generała Klemensa Rudnickiego.

Rejon naszej okupacji był silnie zaludnioną aglomeracją z dużą ilością dróg i linii kolejowych oraz rozbudowaną siecią telefoniczną. Anglicy zajęli się kontrolą i weryfikacją niemieckich telefonistek, my musieliśmy nadal obsadzać swoje centrale, zwłaszcza przy dyslokacji naszych jednostek. Szkoliliśmy kobiety uwolnione z obozu w Oberlangen. Dostały mundury i wcielono je do dywizji. Na tygodniowych kursach przeszkolono kilka ekip. Potem zorganizowano jeszcze dwa kursy czterotygodniowe, na których byłem instruktorem. Uczyliśmy po polsku i po angielsku. Przeszkoliłem też sześć Niemek w obsłudze sprzętu angielskiego. Miałem też dużo pracy w kontroli sieci, nadzorze i licznych tłumaczeniach z angielskiego. Nawiązałem pierwszy kontakt z ojcem. W pierwszym liście była informacja o śmierci drugiej matki, a w kolejnym fotografia z wesela, bo ojciec ożenił się po raz trzeci. Na fotografii ojciec wyglądał jak szkielet, to wystarczyło za wszystkie opowiadania. Wysłałem zaraz do kraju paczki z żywnością. Dostałem też adres ciotki Anny i odwiedziłem ją w Dortmundzie. Poznałem tam kuzyna i dwie kuzynki. Ponieważ pojechałem jeepem, mogłem im przywieźć dwie skrzynie prowiantu.

Do kraju na razie transportowano tylko Polaków z obozów dipisowskich. O naszym losie miały decydować pertraktacje z nowym rządem w Warszawie. Czas leciał. Wreszcie rząd brytyjski, na podstawie porozumienia z Warszawą, wydał do żołnierzy polskich odezwę, w której regulowano warunki powrotu do kraju. Oficer brytyjski wręczył każdemu z nas taką odezwę. Zaczęliśmy się zgłaszać do powrotu, co jednak nie było łatwe ze względu na problemy z transportem – zniszczone drogi i tory kolejowe oraz ogromna rzesza przemieszczających się ludzi. Dlatego stale jeszcze pełniliśmy służbę przerywaną urlopami. Dwa razy byłem w Brukseli i dwa razy w Anglii. Odwiedziłem Melrose, a także przyjaciela mojego ojca z czasów I wojny światowej Jimma Barreta. Zacząłem się przygotowywać do powrotu do kraju. W styczniu 1947 roku zostałem wysłany z kilkunastoma łącznościowcami na ostatnie zadanie do dawnego lotniska niemieckiego położo-



nego w lasach. Pracowałem w ośrodku łączności dowództwa batalionu złożonego z pancerniaków i spadochroniarzy, którzy ścinali drzewa i wysyłali do Anglii. Mieśliśmy tam świetne wyżywienie i 12 butelek wódki w ramach miesięcznego przydziału z NAAFI<sup>61</sup>. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że nie można już tak dalej żyć w poczuciu niepewności jutra. Mieśliśmy wyrzuty sumienia, po co tu siedzimy, dla kogo?

W czerwcu 1947 roku (wraz z oficerem ewidencyjnym) pojechaliśmy samochodami ciężarowymi do Warszawskiej Misji Wojskowej, aby się zarejestrować na wyjazd do kraju. W drodze powrotnej nasz samochód zderzył się z inną ciężarówką prowadzoną przez Niemca. Było kilkunastu rannych, ja szczęśliwie miałem niewielkie obrażenia. Po tygodniu pojechaliśmy do ośrodka demobilizacyjnego w Quakenbrück, gdzie załatwiliśmy dokumenty repatriacyjne oraz rozliczenia ekwiwalentu za służbę. Kilku z nas zostało też awansowanych, ja dostałem stopień wachmistrza. Dowódcą zgrupowania wracających był mój kolega z lat przedwojennych Jurek Klimonda, teraz już porucznik, ale on jeszcze czekał na swój powrót.

Wreszcie wyruszyliśmy do kraju pociągiem osobowym, już bez broni. Ze mną jechał plutonowy T. Waclawski. Byliśmy bardzo podekscytowani, gdy przekraczaliśmy granicę w Szczecinie. Na to konto wypiliśmy toast. W Szczecinie siedzieliśmy w wagonach przez całą noc, potem wyładowaliśmy swój bagaż (ja miałem 5 worków) i po kontroli celnej wsiedliśmy do pociągu towarowego do Poznania. Tam już nikt nami nie kierował i rozjechaliśmy się w swoje strony. Znalazłem pociąg osobowy do Katowic i tak dojechałem do domu. Na dworcu perony wypełnione były czekającymi na różne pociągi. Spotkałem nawet kolegę z naszego szwadronu, który jechał do Cieszyna. Nie miałem polskich pieniędzy, więc za papierosy bagażowy zawiózł mi rzeczy przed dworzec, a tam wziąłem chłopca z wózkiem ręcznym. I tak dotarłem pod dom na ulicy Kochanowskiego, gdzie spotkałem kolegę, który popilnował wózka. Szybko pobiegłem na górę i już na półpiętrze spotkałem ojca. Wyściskaliśmy się serdecznie, a potem ojciec zapłacił mojemu wózkarzowi.

Po ośmiu latach tułaczki nareszcie wróciłem do domu! Wkrótce pojawili się bracia, którzy już zdążyli się ożenić i mieszkali poza domem rodzinnym. Przywitaniom nie było końca. Zgodnie z przepisami przez dwa tygodnie chodziłem w swoim mundurze. Odwiedziłem znajomych i z dumą opowiadałem, że służyłem w 1. Dywizji Pancерnej, choć po ulicach Katowic chodzili już żołnierze w zupełnie innych mundurach. Musiałem znaleźć jakąś pracę, a także mieszkanie. Na razie zameldowałem się u ojca i pracowałem w Metalach Nieżelaznych, ale już w grudniu wyjechałem do Zakopanego. Od 1 stycznia 1948 roku rozpocząłem pracę w Funduszu Wczasów Pracowniczych. W Zakopanem odetchnąłem za wszystkie lata, choć skomplikowały mi się sprawy osobiste. Pechowo się ożeniłem i już po paru miesiącach musiałem chodzić na sprawy rozwodowe. W 1949 roku formalnie znowu byłem wolny. Ponownie wziąłem ślub w 1951 roku, tym razem szczęśliwie. Wiedziałem już, dla kogo żyję.

<sup>61</sup>Navy, Army and Air Force Institutes, firma brytyjska zaopatrująca wojsko.

Lata powojenne nie były łatwe, ale wszyscy żołnierze 1. Dywizji Pancernej, którzy wrócili do kraju, pracowali uczciwie, choć często byli dyskryminowani, a nawet represjonowani. Wielu naszych kolegów pozostało na Zachodzie i też powodziło się im różnie, z niektórymi przez lata korespondowałem. Lecz żołnierze 1. Dywizji Pancernej nie tylko walczyli i ginęli z honorem, ale też z honorem pracowali dla kraju, w którym przyszło im żyć.



Józef Szymiczek  
wieloletni 1 Dywizji Pancerniej

### Lata młodości

### Gliwice

Do 9-go roku życia mieszkałem w Gliwicach przy ul. Barbary 46. Z pamiętki w mierzchu o jednym pokoju i kuchenii a po jakimś czasie, na tym samym III piętrze, w większym - to dom pokojowy z kuchnią. Była też większa kominka i dość obszerny korytarz. Okna były i na podwórku i na ulicę. Każdy lokator miał w podwórku 1-dni pomieszczenie gospodarze, gdzie przechowywano się drewno, kołki lub kury, i t.p. Okna wychodziły w stronę ulicy dawnej możliwości obserwacji sąsiadów kompleksu warsztatów naprawy taboru kolejowego. Kompleks ten rozciągał się wzdłuż całej ulicy Barbary aż pod Śwież i odgródzony był wysokim murem betonowym parkanem. Drugi skraj tego kompleksu kończył się daleko przy ulicy Choprowskiej. W tych warsztatach pracowali mój ojciec jako wulkanista. W czasie I wojny światowej (w której transporty wojenne w większości opierały się na komunikacji kolejowej) Niemcy traktowali te warsztaty jako główną bazę naprawczą. Warsztaty te nie tylko naprawiały tabor ale również budowały sprzęt przeciwny, między innymi t.n.w. Luks Torpedy. Były to małe restawy wagonów osobowych o napędzie silników spalinowych. Latoga pracująca w czasie tej wojny, archiwizacji ponad miarę eksploatowana, w warunkach pilnego konieczności, dyktowanej sytuacji i potężnej frontu - skompletowała z jednej strony i rozwinięta była od obowiązków pojęcia na front. Na tym też skończył mój ojciec, który archiwizacji szkolony przed wojną w Opolu - był potrzebniejszy w warsztatach. Tak też parę tam ojca wracającego z pracy. W terenie przynosił kamień, drewna i odcietych desek i naprawiających wagonów. Sytuacja żywnościowa w czasie I wojny światowej była dość ciężka. Ojciec robił młynki do mielenia ziarna. Robił teżby do mielenia ziemniaków. Razem stawiano się na blasze. Wszypowało się do niego ziemniaki i w trakcie nagrzewania się obracało się korbą podcażoną z mieniącym. To przeważnie była młoda i młoda bracia robotnicy. Na innego rodzaju młynkach mieliło się owoce ryżu i pszenicy. Matka miała z tego pszenicę, z pszenicy jeź-



Józef Szymiczek,  
Katowice 1939



Józef Szymiczek, Glasgow 1941



Józef Szymiczek w gronie rodzinnym, Katowice 26 XII 1938  
(w drodze do kościoła) i 31 XII 1938 (ostatni przedwojenny Sylwester)



Józef Szymiczek na balu Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej  
w salach Urzędu Wojewódzkiego, Katowice 18 II 1939



Na drogę  
na przekraczanie

Tęsknota wie, tak serce  
me.  
za moja Ojczyznę drogą.  
Porostaj mam już całkiem  
sam.  
Wśród obcych ludzi muszę  
żyć.  
Ból strasny i tęsknota  
w sercu skryć.  
Po zbliska nie mam tu  
od lat milogo,  
Biewerzyna ma, nie gubowaj  
się.  
że opuścitem Cię.

Musiatem Cię zostawić  
Pojechać w kraj daleki...  
Przez błądy, mroza, rzeki  
moje na wiski.  
Musiatem Cię zostawić,  
Leci serce z bólu pfaare,  
Leci pręci Cię zobacz.  
Do kraju wróć.  
Ola Cibie serżoia dusy



Maria Hauptmanówna, która pomogła Józefowi Szymiczekowi po ucieczce z obozu jenieckiego (Brody 1939), wiersz ofiarowany na drogę i kartka wysłana do rodziny z Węgier (Eger 1940)





Uroczysty przegląd wojsk ewakuowanych z Francji, 1940



Wizyta Naczelnego Wodza generała Sikorskiego



Występy szkockich kobziarzy przed żołnierzami polskimi, 1940





Przysięga  
uzupełnień rekrutów



Msza polowa

Biskup polowy Józef Gawlina  
i generał Bronisław Regulski





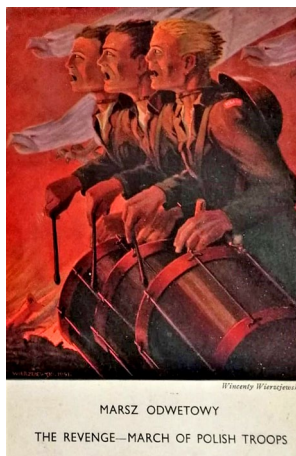
Szwadron Łączności 10. Brygady Kawalerii Panczernej  
z dowódcą kapitanem Hieronimem Kurkiem



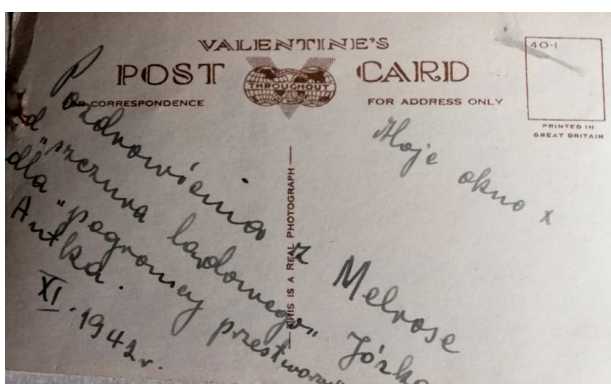
Ćwiczenia łączności,  
pluton stacyjny



Porucznik Kazimierz Kalinkiewicz  
prowadzi Szwadron Łączności  
na niedzielną mszę



Propagandowa ulotka  
Polskich Sił Zbrojnych  
na Zachodzie



Pocztówka z Melrose (budynek Hydro Hotelu)  
wysłana przez Józefa Szymiczka  
do kuzyna Antka (zaznaczone „moje okno”)



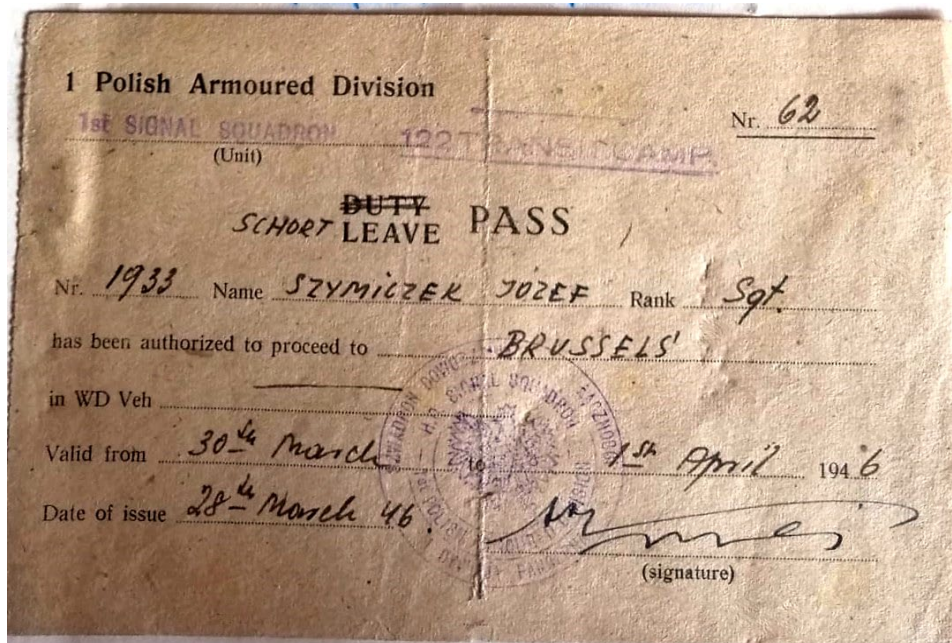
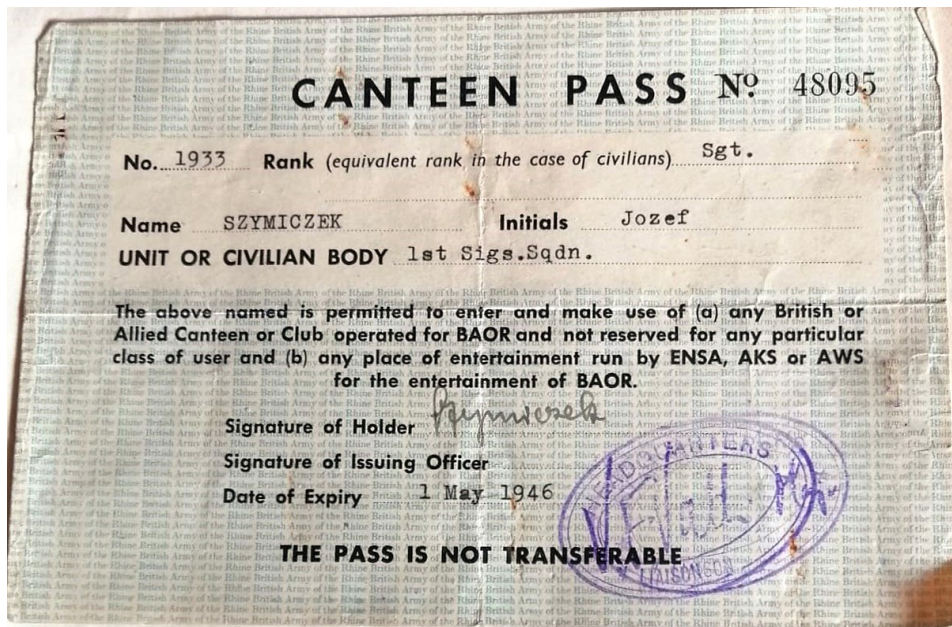
Spotkanie z kuzynem Antkiem służącym w lotnictwie



Józef Szymiczek w Melrose: w pokoju Hydro Hotelu  
i przed domem Miss Mary Davidson



Hydro Hotel w Melrose i żołnierze batalionu łączności przed wejściem do budynku oraz w parku



Wojskowe przepustki Józefa Szymiczka: do alianckiej kantyny i urlopowa do Brukseli



Angielscy jeńcy w Gliwicach w czasie I wojny światowej, a wśród nich Jimm Barret (zaznaczony krzyżykiem)



Józef Szymiczek w odwiedzinach u Jimma Barreta w 1946 roku



Legitymacja francuskiej organizacji kombatanckiej wystawiona dla Józefa Szymiczka i zdjęcie z lat późniejszych